

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 24 LISTOPADA 1928 ROKU

NR 48

TREŚĆ NUMERU: Co i jak mamy produkować—*Natalja Jastrzębska*. Koedukacja w szkołach średnich na prowincji—*Marja Gołbowa*. Poezje: „Zimno”—*I. K. Młakowiczówna*. Bliźnięta owczarowe (dok.)—*Lucja Knollówna*. Kamienie w ogniu — *Adam Fag*. Wrażenia z pobytu w Wiśle — *S. Borowska*. O równe prawa dla kobiet we Francji—*Z. Zaleska*. Promienny Jubileusz — *J. M.* Sport i wychowanie fizyczne — *M. Miłobędzka*. Z życia ekranu — *St. Heymanowa*. Kobieta w świecie i w domu — *J. K.* Książki nadesłane do redakcji. Śladami zagranicy — *Zofja Miszewska*. Pożyteczna moda — *J. S.* Szósty Zjazd Gospodyń — *M. Karczewska*. Przechowywanie owoców (dok.) — *Stan. Schönfeld*. Elektryfikacja gospodarstwa domowego — *Inż. Tadeusz Ingwer*. Śpiżarnia w mieście (dok.)—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek: „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Ostatnie modele sukien—*Well*. Dwa jumpery szydełkowe i na drutach. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

CO I JAK MAMY PRODUKOWAĆ

Zapoczątkowana przed dwoma niespełna miesiącami akcja dążenia do czynnego bilansu handlowego, drogą propagandy społecznej, rozwija się coraz intensywniej. Liga Samowystarczalności Gospodarczej otwiera ciągle nowe oddziały na prowincji; cały szereg stowarzyszeń urządza zebrania informacyjne i propagandowe w tej sprawie; organizuje się wieczory dyskusyjne, na których przemawiają wybitni ekonomiści; kwestja podniesienia wytwórczości krajowej zainteresowała istotnie całe społeczeństwo.

Należy tylko baczyć pilnie, aby nie był to przysłowiowy „słomiany ogień”, śledzić rozwój akcji, nieustannie o przebiegu jej informować i przypominać.

Należy również przemyśleć ją głęboko i zdać sobie dokładnie sprawę, z czym mamy walczyć, a co popierać i tworzyć. Przeciętny ogół, bowiem, zwykle nie zdaje sobie sprawy z zawiłości polityki handlowej i właśnie wskutek tego używa na prawo i lewo argumentów, które posiadają wprawdzie różne wartości naukowe lub historyczne, lecz w praktyce mogą być stosowane bardzo rozmaicie.

Jednym z tych argumentów, który już daje się słyszeć, jest, że ograniczanie wolnej wymiany handlu międzynarodowego jest przestarzałym, średniowiecznym systemem, a ograniczenie się do produkcji własnej nie udało się w Polsce już w XVI wieku!

Otóż jest to notoryczne pomieszanie pojęć i niezdawanie sobie sprawy z historjozoficznej logiki. Ograniczenie wolnej wymiany produktów przemysłowych jest to tak zwany protekcjonizm, system ceł ochronnych i zakazów przywozu, stosowany przez państwo. System ten, który w teorjach ekonomji poli-

tycznej był przez pewien czas silnie zwalczany, nie jest jeszcze wcale tak przestarzały w praktyce i bywa stosowany przez różne państwa stale, lub czasowo i to częściej dla racji czysto politycznych, niż ekonomicznych. Ale tu wcale nie o to chodzi. Akcja samowystarczalności gospodarczej nie idzie w kierunku wywierania wpływu na rząd, lecz na społeczeństwo. I społeczeństwo ma tu głos największy. Bo rząd może wprawdzie zabronić przywozu jakichś artykułów, narażając się na przykrości polityczno-handlowych odwetów, ale żaden rząd nie może zawrzeć traktatu handlowego, zmuszającego kogokolwiek do sprowadzania wytworów, traktatem objętych i korzystających z ułatwień celnych i przywozowych! Tu leży właśnie cały atut akcji społecznej: nienarażanie państwa na zawiąkania dyplomatyczne.

Że zaś jakaś akcja nie udała się w przeszłości, nie stanowi to wcale dowodu, aby w innych, zmienionych zupełnie warunkach udać się nie miała obecnie. Jest to przecież elementarna zupełnie teoria, stwierdzona tysiącami przykładów.

gorzej na terenie wszechświatowych rynków: przedstawiają się względy nie polityczno-państwowej, lecz czysto handlowej i giełdowej natury; lecz i tu Polska, posiadająca ogromną ilość surowców, może stanąć na silnym stanowisku, jeżeli dążyć będzie do tego wytrwale i konsekwentnie; ale to jest właśnie dziecina, w której główna rola przypada rządowi.

Waga sprawy polega właśnie na dokładnem zrozumieniu i nie mieszanu ze sobą tych dwóch pojęć — zakresu i wartości akcji państwowej i akcji społecznej, gdyż każda z nich ma własne wpływy

i własną działalność, mające tylko jedną styczną: dobro państwa.

Taksamo lubimy przez nieświadomość mieszać pojęcie przywozu inwestycyjnego z konsumcyjnym, twierdząc, że nie możemy obejść się bez importu rzeczy, przemysłowi niezbędnych.

I tu znów należy zdać sobie sprawę z tego, że rola społeczeństwa jest najważniejsza w zwalczaniu przywozu konsumcyjnego; z inwestycyjnym radzić sobie musi rząd.

Akcja społeczna w tej sprawie iść musi dwiema drogami: zwalczania nieufności do wyrobów i towarów krajowych oraz popierania wytwórczości.

Czyż istotnie pierwsze jest potrzebne?

Smutne to, ale tak. Nie wszyscy mają dobre pojęcie, ile jeszcze istnieje wśród nas „zagranicznego” snobizmu z jednej, a braku wiary w siłę własną — z drugiej strony.

Zmieniło się wiele na lepsze od czasu, kiedy „pierwszy człowiek w Litwie chodził po francusku”, napewno; niemniej jednak za dużo jeszcze pozostało w nas „pawia i papugi” obcych przedmiotów i obyczajów.

Oglądając niedawno w jednym z pierwszorzędnych magazynów bławatnych jedwabie krajowe, prosiłam właściciela, osobistego znajomego, aby zechciał poinformować mnie „naprawdę”, czy te materiały są istotnie w kraju wyrabiane.

— Nietylko obecnie, ale były wyrabiane już przed wojną, — odpowiedział — tylko panie same zmuszały nas do zakonspirowania ich pochodzenia. Żaden z kupców nie byłby się ośmielił przedstawić klientce towaru krajowego, nie kupiłaby go! Teraz dopiero zaczęła się ta szczęśliwa odmiana.

Otóż tego niema nigdzie na świecie. Wszędzie zdarzają się liczne wypadki, że ktoś kupuje, a nawet sprowadza sobie specjalnie z zagranicy dzieło sztuki, książkę, jakiś specjalny środek, lub wytwór danego kraju. Są uprzywilejowane, wyjątkowe wyroby, mające rozgłos wszechświatowy, których ktoś może zapragnąć; ale żeby, kupując jakieś parę metrów na suknię, lub bodaj na ściereczkę, żądać zagranicznego towaru — to jest coś wprost bezsensownego, a jakże, niestety, częstego u nas!

Otóż z tem walczyć musimy z całą energią i bezwzględnością; to jest niedopuszczalne i musi być wykorzystane. Nie jesteśmy tak ubodzy, abyśmy nie mogli ubrać się, umebłować i zaspokoić wszelkich potrzeb kulturalnych u siebie. Argumenty o nieobniżaniu stopy życia są chybione, bo produkujemy nietylko przedmioty codziennego użytku, ale nawet zbytku.

Chodzi tylko o to, aby przestała nam imponować marka zagranicy, abyśmy, jak każdy kraj cywilizowany, korzystali przeważnie z własnej produkcji.

Sprawa wolnej wymiany handlowej, ogarniającej wszystkie rynki, to rzecz zupełnie inna; znajdują się zawsze różne wyroby, których jeden kraj potrzebuje będzie od drugiego; ale to nie dowód, aby masowo sprowadzać z zagranicy to, co jest na miejscu.

Obok zwalczania nieufności do wyrobów krajowych, należy przede wszystkim podnosić wytwórczość. I tu również duża rola przypada kobietom, które objąć mogą cały przemysł domowy, gospodarczy, dużą część artystycznego z zakresu sztuki ludowej i stosowanej, a także produkcję pewnych surowców dla przemysłu fabrycznego. Z tego ostatniego zakresu należałoby na początek jaknajenergiczniej uwzględnić produkcję jedwabiu.

O hodowli jedwabników pisze się i mówi u nas od szeregu lat; niestety, idzie ona marnie, a przecież wobec dzisiejszej mody, która bodaj pozostanie trwałą, wobec olbrzymiego zapotrzebowania tkanin jedwabnych, dostarczenie fabrykom krajowego surowca jest sprawą pierwszorzędną wagi. Rozwój tej hodowli mógłby się stać źródłem bogactwa dla całego kraju.

Dotychczas jednak sprawa jedwabnicza jest za ledwie w zaczątku. Pierwszy krok uczyniono w Wielkopolsce, gdzie przybyły z Ameryki p. Leon Wawrzekiewicz urządził szereg bezpłatnych kursów jedwabniczych, wyszkoliwszy w przeciągu roku 300 instruktorów. P. Wawrzekiewicz ma zamiar zorganizować takie kursy w całej Polsce. Otóż tę dzielną inicjatywę poprzeć należy jaknajgoręcej, a poprzeć ją winno społeczeństwo i rząd.

Obok jedwabnictwa dążyć powinniśmy do rozwinięcia produkcji tytoniu, którego sprowadzamy za 20 milionów rocznie; z tych 5 milionów możnaby zredukować, odliczając na gatunki, doskonale udające się w Polsce, i ziół lekarskich, które sprowadzamy niewiadomo poci, bo cały ich szereg rośnie u nas niemal na każdym miejscu.

Nie dosyć jest jednak zachęcać do hodowli i produkcji; należy jeszcze wytworzyć dla nich pomoc materialną, centrale zbytu i wszelkie ułatwienia techniczne. I tę pomoc należy uzyskać zarówno od rządu, jak i od sfer zainteresowanych — przemysłu i kupiectwa. Sama, bowiem, propaganda ideowa nie wystarczy: trzeba oprzeć ją na silnych podstawach realnych. Jeżeli uda się nam je stworzyć, produkcja nasza, dziś już poważna, osiągnie olbrzymi rozwój, zasyci rynki krajowe i umożliwi prowadzenie racjonalnej polityki eksportowej.

Natalja Jastrzębska.



MARJA GOŁĄBOWA

KOEDUKACJA W SZKOŁACH ŚREDNICH
NA PROWINCJI

Pytanie, czy koedukacja jest systemem dobrym i czy należy ją wprowadzać, jest ciągle jeszcze u nas tematem niewyczerpanym. Zagranicą, szczególnie na północy, gdzie szkoły koedukacyjne są oddawna wprowadzone, uznano je za dobre i wskazane. U nas koedukacja „ujrzała światło dzienne” przedewszystkiem w szkołach powszechnych. Potem zastosowano ją też i w szkołach średnich na prowincji, gdzie system ten okazał się praktycznym, tak ze względu na brak lokali, jak i sił nauczycielskich.

Dla wielu rodziców była ona niejako wybawieniem z wielkiego kłopotu, finansowego przedewszystkiem, gdyż nie wszyscy mogli sobie pozwolić na wysłanie swych córek do wielkiego miasta i umieszczenie na pensji. A i inne względy grały i grają tu wielką rolę. Dziecko bowiem, oddane w obce ręce, pod opiekę chociażby najlepszą, odbiega zwyczajami, a nawet sercem od domu i jego zasad, staje się dla rodziców i rodzeństwa elementem obcym, a tem samem—przykrym. Wyjątek, naturalnie, stanowią dziewczynki krnąbrne, nieposłuszne, na które rygor obcych ludzi wpływa zwykle dodatnio. Lecz większość rodziców i opiekunów zapatrywała się na koedukację dość sceptycznie, a część nawet wrogo, w obawie przed zepsuciem, na jakie narażone byłyby ich córki, przebywając w towarzystwie niesfornych chłopaków. Zwyciężyła jednak konieczność i... przykład śmielszych. I w końcu ci, którzy odgrążali się, że nigdy nie dadzą córki w „paszczę” koedukacji, ulegli i zapisali swe dziecko do gimnazjum koedukacyjnego.

Zobaczmy teraz, jakie rezultaty daje koedukacja w szkołach średnich na prowincji, gdyż właśnie dla nich, ze względu na dalszy bieg życia naukowego młodzieży, system ten jest nader ważny.

Z początku dziewczynki, przeważnie wprost z domu i domowej nauki przeszczepione na grunt szkolny, onieśmielone samą atmosferą, jak i towarzystwem kolegów, są ciche i zatroszone. Wkrótce jednak oswajają się z nowymi warunkami, zbliżają się wzajemnie do koleżanek, z którymi tworzą wkrótce „partję”, przeciwstawiającą się chłopcom i, jako z natury słabsze i delikatniejsze, znajdują w ten sposób, przez wzmocnienie się ilościowe, samoobronę.

Chłopcy, często zupełnie zaniedbani pod względem wychowania, brutalniejsi od dziewczynek choćby najniższego pochodzenia, mimowoli są początkowo niechętnymi towarzyszami swych koleżanek. Ponieważ jednak małomiejski i wiejski element chłopców jest o wiele lepszy od gruntownie zepsutego, wielkomiejskiego, wkrótce następuje przemiana, korzystna dla obu stron, a przedewszystkiem dla chłopców. Miano-

wicie, obserwując zachowanie się i pilność w nauce koleżanek, łagodnieją w stosunku do nich i starają się dorównać im, a nawet przewyższyć. Ambicja i duma „męska” zaczynają brać górę nad lekkomyślnymi figlami i skłaniają do coraz większej pilności, aby nie dać się „babom” prześcignąć.

A zatem mamy już dwa „plusy” koedukacji u chłopców: poprawa w zachowaniu się i wzmocnienie ambicji, co do postępów w nauce. U dziewcząt wpływ dodatni przejawia się podobnie, jak u chłopców, gdyż rywalizacja z kolegami w nauce daje też świetne rezultaty, u mniej pilnych szczególnie.

Następnym wynikiem, godnym uwagi u uczennic, jest szybszy rozwój inteligencji, gdyż najpilniejsza i najzdolniejsza nawet dziewczynka nie ma z natury tej pewności w wymowie ani śmiałości, aby zapytać profesora o rzeczy, dotyczące wykładanego przedmiotu, a niezrozumiałe dla niej. Pytania i dyskusje, z nich wynikające, są niezmiernie ważne w terażniejszym systemie nauczania.

Słyszac zaś śmiałe odpowiedzi i pytania chłopców, dziewczynki nabierają również pewności i wymowy.

Wiadomą jest rzeczą, że do 10-ego roku dziewczęta wyprzedzają chłopców - jednolatek w rozwoju umysłowym; lecz po tym okresie rozwój ten zwalnia się mniej więcej aż do 14-ego roku, podczas gdy inteligencja chłopców postępuje od 10-ego roku coraz szybciej. W porównaniu więc do dziewcząt, rpedzej się orientują w trudnościach i rozumują jaśniej.

Ponieważ gimnastyka umysłu daje niezwykle rezultaty, nawet w okresie osłabienia rozwoju umysłowego, a więc i u dziewcząt, starających się dorównać chłopcom w orientowaniu się, horyzont myślenia rozszerza się i rozjaśnia.

Wstydzac się odruchowo koleżanek, chłopcy nie wymawiają brzydkich wyrazów, stają się pomocnymi w nauce i często rycerskimi, a podanie palta koleżance i t. p. przysługi nie są rzadkością, nawet w niższych klasach.

Wpływ koedukacji do tego stopnia działa na złagodzenie charakterów uczni, że nawet, jak zauważyłam, odbija się to w rysunkach, a przedewszystkiem w kompozycjach o dowolnem zapełnieniu danej przestrzeni, gdzie pod wpływem upodobań koleżanek do kwiatów i powtarzania przez nie motywów kwiatowych i oni najchętniej rysują lub malują kwiaty, co u uczni w szkołach czysto męskich prawie się nie zdarza. Co do uczennic, te znów, przeciwnie, po pewnym czasie tracą nieśmiałość w zachowaniu i stają się pewniejsze siebie, często nawet wojownicze w sto-

sunku do kolegów. Ta ostatnia cecha jest czysto zewnętrzna i tylko odruchowa, gdyż powstała, jako samoobrona przed kolegami, i w wyższych klasach zatracą się, jako niemająca zastosowania.

Dla rodziców o zasadach „przedwojennych” śmiałość i pewność siebie ich córek, nabyta już w szkolnych murach, jest czemś nie do pomyślenia. Dziś jednak, gdy każda kobieta chce się usamodzielnic, by nie być średniowiecznym ciężarem dla swej rodziny i otoczenia—pewność siebie i osvajanie się od wczesnej młodości z towarzystwem kolegów jest rzeczą konieczną. Samodzielność i energja, wyrobiona później, na ławach uniwersyteckich, jest sztuczna i często spóźniona, gdyż życie nie czeka i szybko idzie naprzód.

Dla tych, którzy wyobrażają sobie, że koedukacja jest źródłem demoralizacji i nieustannym romanssem między koleżankami a kolegami, przytoczę pewien fakt, wyraźnie zbijający te podejrzenia. Otóż raz, gdy w gimnazjum koedukacyjnym urządzano wieczorek uczniowski, zorganizowany staraniem wyższych klas, kilku uczni 8-ej klasy, jako delegacja, zwróciło się do mnie z prośbą o wstawienie się za nimi u dyrektora, by zechciał pozwolić 8-ej klasie pójść na wieczór publiczny, mający odbyć się tego samego dnia. Naturalnie zgóry odmówiłam, wiedząc o istniejącym zakazie, zabraniającym uczniom bywania na publicznych

wieczorkach i balach i, zdziwiona, zapytałam, dlaczego chcą iść na inny wieczór, skoro mają swój, w gimnazjum z koleżankami. Na to otrzymałam odpowiedź: — „Z koleżankami, proszę pani, dobrze jest się uczyć, ale nie tańczyć”.—Zatem oswojenie się i przyzwyczajenie robią swoje.

Jestem przekonana, że dziewczynki, które ukończyły gimnazjum koedukacyjne, są lepiej przygotowane pod względem moralnym i mniej narażone na pokusy i zepsucie w wyższych uczelniach. Widok kolegi nie jest dla nich nowością, przeciwnie: przyzwyczajone są do niego prawie od dziecka, a co za tem idzie—zachowanie ich jest bardziej naturalne, nieprzesadne, prawdziwie kobiece, czego właśnie brak większości słuchaczek, pragnących zatracaniem w sobie kobiecości zaznaczyć swą nową pozycję, jako „koleżanka”.

Z powyższych obserwacji śmiało wnosić można, że na prowincji, w małych miasteczkach, gdzie element dzieci obojga płci jest mniej zepsuty, aniżeli wielkomiejski, — koedukacja jest i będzie wskazana.

Ciekawą rzeczą byłoby zbadanie pod tym względem warunków w rozmaitych dzielnicach Polski, a także w większych miastach, co dałoby możność zbilansować ostatecznie wszystkie pro i contra koedukacji. Poczynione przezemnie obserwacje przemawiają jednak bezwzględnie za pomyślnym wynikiem.



I. K. IŁŁAKOWICZÓWNA

ZIMNO

U zimnych ust łąoryferu
szybuje moja myśl, jak ćma bez steru,
trzępie skrzydełkami z tęczy,
jak łąomar cichutko brzęczy:
„Zimno mi, zimno mi...”
Zmarznięty szron na dachu łśni,
żółty listeczek z szelestem
trzepocze się: „Suchy jestem!
Oczka moje pełne rosy,
latam lekki, latam bosy...”

Muszka ledwo, ledwo żywa
cieniem w locie mię nakrywa...
Pomiędzy słońcem a mną
Pajęczyny senne mkną...
Každy latawczyk cieniutki
ton wydaje krótki, krótki:
„Zimno mi... zimno mi...”
Zamrę, nim miną jesienne dni...”
I te ostatnie zwierzenia,
Nakształt plamki lub promienia,

przez pajęczyny i muszki,
przez listki suche i puszki,
jak przez muślinowe sito,
wpadają w jedno łąoryto
i biegą powietrzem, biegą,
aż mię pod ścianą spostrzegą
u zimnych ust łąoryferu,
gdzie bez żagla i bez steru
myśl moja, tęcza brzęcząca,
o zimne struny trąca...

LUCJA KNOLLÓWNA

BLIŹNIĘTA OW CZARZOWE

(Dokończenie)

Aż tu się naraz rozwarł ścisk na dwie strony, jakoby szpaler czyniąc, i weszli na polanę nowi goście, wszyscy w szatkach brunatnych, powłóczyстых, jako i brata Franciszkowe. Więcej jeszcze tedy wyglądali na braci drzew okolicznych, jakoby właśnie wyszli z ich tłumu, z serca samego boru odwiecznego. Większy się też jeszcze wydał patrzącym ów dziw, jako że nigdy przez myśl im nie przeszło, by ten bór straszny serce miał, a teraz oto nagle chyliły się ku sobie drzewa a krzewy, jakby w rytm jeden z ludźmi dychające. Tylko w ich piersiach malutkie serca tłuc się tak szybko jęły, lękiem obłąkane, że się aż porwały dzieci, na nic już nie patrzący, precz z tego miejsca gnać. Ale im drogę zagnała zagroziło ziele jakoweś drobne, w ciasny splecione wianek, Ustawiły się wkoło gęściutkim pierścieniem Michałki, kwiatki liljowe, żółtemi ze środka oczami stróżliwie patrzące. Małe służki świętego Michała, co z mieczem ognistym przed drzwiami dworu Bożego straż odwieczną trzyma, przybiegły, za ręce się wzięwszy, miejsca owego pilnować. Boć jeśli Bóg na cud zezwoli, nie każdemu przecie da się nań patrzeć. Nie dopuści człeka złego, ani wiedźmy, ani biesa, a jeśli by zaś który trafił tam przypadkiem, srogo ukaran będzie. Przypadły więc znowu dzieci za swój krzak, a ostatnie przerażenie myśl im wszelaką odjęło.

Tymczasem witał się święty radośnie z gośćmi swymi. Witał słodką siostrę Klarę i jej towarzyski, co mu w podarunku z wełny puszystej tkane przyniosły oponcze dla wędrowców, porą mrozną wśród śniegów zbłąkanych. Witał dobrego brata Leona, brata Pacyfika i Antoniego, całego jeszcze strojnego w jarzębiny, co mu ich pastuszkowie nadawali u figur przydrożnych. A oni go uściskawszy serdecznie, życzenia swe przekładać jęli. Życzyli mu tedy, by błogosławieństwo jego bujnie się w kwiatuśkach a ziołach rozrastało dzikich, na wspomóżenie podróżnych zbłąkanych i dzieci malutkich, jagód po krzaczach szukających. By radość Boża ze skrzydłami się ptaszeciami wzdłuż i wszere rozniosła, jak deszcz złoty tryskająca na strzechy ludzkie w rozszarpane troską dni jesien-

ne. Życzyli mu, by w swej zwalonej kapliczce drewnianej chwili owej szczęśliwie doczekał, aż się w groźnym boru, i na wrzosowiskach ubogich, i na moczarnie zdradnym wszystko, co żyje: liście i trawy, gadziny i mróweczki drobne, jelonki lekliwe i dzikie wilczyśka—nauczą jednym głosem przymierze z dobrym Bogiem śpiewać sercom ludzkim złym, a skołatany. By zaś świat cały, jako świątynia był, a każda najmniejsza nawet, w cieniu skryta ścieżyna, niby kruzganek w niej, wiodła ku Temu, co człowieka każdego, jak ptaszę niemocne, na ziemię wypuścił z ręki dobrotliwej.

Rozrzewnił się brat Franciszek na owe życzenia i, westchnawszy „Daj to Bóg!“, wśród polany ukląkł, dłonie swe poranione ku górze wznosząc; a świeciły się na nich krwi krople, jako dwa snopy iskier ognistych. Uklękli z nim razem wszyscy dookoła i chwalić jęli Boga, a z nimi ptaszki i brzozy, i paprotki wespół zeschnięte, i nawet drobne muchomorki, świeżo z ziemi wylęgłe, nieudolnie na swój sposób modlitwę powtarzające. Dojrzały wtedy bliźnięta owczarzowe, że się do szat świętego dzieciątko tuliło, w giezłeczko białe przyodziane. A choć mu się po dniu policzki kraśnym barwiły rumieńcem, rychło poznawały ową strzygę malutką, nocą przez ich ojca sponiewieraną. Ale już od nich i bez tego kędyś strach odpadł, niby zmora nocna o świtaniu, a jakby ciepłem jakowemś przygrzane, rozprężyły się członki w ufnej, spokojnej radości. Rzuciły się też wraz ku brunatnej świętego szatce, błogosławieństwo na głowy przyjąc krwawych kropli, światłem spływających. I nie pytały już o nic drzew, ni wiatru, ni zwierza, a tęsknotę swą gorzką, jak ziela pęk wonnego, rzuciły jeno od niechcenia na ognisko światłości nieznaney. I modliły się ze wszystkimi dookoła do mocnego, radosnego, promiennego Boga, co ziemię całą, jak jest wielką, w lasy przystroił i łąki, co żyjątku aby najlichszemu drogi po świecie wyznaczył, co Sam, rok za rokiem silną dłonią kędyś po niebie tocząc, tęskności i wesele ludzkiemu sercu odmierza, a w boru dalekim cudami świecić dał imieniny słudze swojemu Franciszkowi.



ADAM FAG

KAMIENIE W OGNIU

(karta z r. 1831-go)

I

Starzy ludzie miasta, siwogłowi, życiem doświadczeni, chytrze spoglądali na czwartaków. Oni, wszechwiedzący, długim ciągiem lat wszystkiego nauczeni, dobrze rozumieli, że piechota polska nie odda Głowuszewa. Zaraz pewno tu i tam, pod laskiem, niedaleko młyna, szanicyki kształtne się ubije, haubice a moździerze odprzodkuje, dowództwo nasze psiajuchom z tamtej strony prześle parę foremnych gościńców. Jednonogi jakiś weteran, dawny szermierz z pod Lodi, Arcole, Marengo, ręce zacierał radośnie: „Ot, sacrebleu, będzie nareszcie uciecha!”

Tymczasem rynek wypluł gęste szeregi mrukliwych czwartaków. Długi, połyskujący wąż piechoty ciągnął warszawską szosą, ku południowi. Tu i tam konny adjutant spinał kolumny ostrzem nowego rozkazu. Tu i owdzie wąsaty sierżant kłął zagubionych gdzieś, osieroconych maruderów. Ztyłu, za wojskiem, wlokły się treny. Za nimi, małą dryndulką, uciekała z miasta jego władza cywilna: Tymczasowa Komisja Osady Głowuszewo, ze swym prezesem, panem aptekarzem Ciątkowskim, na czele.

Pozostało tedy miasteczko na łasce Opatrzności, losu i nadciągającego wroga. Nad dachami rozrzuconych domków, bitą ziemią głowuszewskich ulic zaciążyło fatalne pytanie: jak daleko moskale, kiedy nadciągną, czego się od nich spodziewać?.. Słodką wodą napełniano kadzie, zabijano okiennice, chowano w skrytki cenniejsze przedmioty. Skurczyło się Głowuszewo, przykucnęło trwożnie po obydwu stronach stołecznej szosy, nienawistnie zezuje w stronę nieprzyjaciół.

Lecz nieprzyjaciel nie nadchodził. Wkraczało tedy Głowuszewo w niepewną czerń bezpańskiej nocy. Swoi odeszli, wróg narazie nie chciał zabierać. W taką bezpańską noc zjawiają się zwykle, bezkarnością spuszczone z łańcucha, ciemne siły ziemi... Ale w Głowuszewie noc ta nie zapowiadała się, jako noc gwałtów i rozboju. Życie było tu ciche, uleżałe; nigdzie nie gromadziły się wrzody ciemnych instynktów, z którychby trysnąć mogła krwawa ropa zbrodni. Jeno słynny koniokrad Antek Wisielec, sowizdrzał i andrus zawołany, wyłamał tego wieczoru drewniane kraty gminnego aresztu i, wsunawszy ręce w kieszenie, gwizdząc i śpiewając, pociągnął wesoło w świat.

II

Przemiał dzisiejszy był ukończony. Jeńcy w komorze wieczerali, Jan w izbie oczekiwał powrotu

Lonki. Wydrążony w ścianie, kwadratowy otwór okna ukazywał bezludną czerń drogi. Z prawej strony sterczały płaskie i nieruchome skrzydła młyna.

O zmierzchu Lonka pociągnęła do miasta za sięgnąć języka. Załoga młyna składała się teraz z sześciu ludzi: z Jana, Lonki i czterech jeńców - moskali. Stary Krajewski przed tygodniem pożegnał ściany ukochanego wiatraka.

— Nie mogę — powiada — patrzeć, jak mi chudobę marnują! Ten kulas — (pod Dębem Wielkiem kartacz Janowi stopę uszkodził) — ten kulas miele wszystko zboże, a płaci złotymi kwitkami... Toć, panie dzieju, rozbój, grabież, Zaporozel! Chodź, Lonka, jedziem na skargę, do sztabu!

W samej rzeczy, uniosła pana Krajewskiego zasobna bryka, uskrzydłona klusem spasionego wacha. Ale Lonka pozostała w młynie. — Zostanę, — powiedziała ojcu, — bo tak mi się podoba! — W słomę bryki wepchnęła tęgą kichę jałowcowej kielbasy, chleb i ser. Żartowała wesołem pożegnaniem: — No, tata, szczęść Boże! nie zapominaj swojej Lonki!

Stary Krajewski wrzusił ramionami. Rozumiał, że w walce, którą toczył z Janem o mąkę i dukaty, rodzona córka stanęła po stronie jego przeciwnika. — Zamało ją biłem w młodości! — westchnął żałośnie, i pojechał, trzasnąwszy własnoręcznie z biczem i żegnając wiatraczek ostatniem, miłosnem spojrzeniem.

W młynie tedy pozostali młodzi: Jan i Lonka; obok, w komorze, pędzili dni jeńcy wojenni, przydzieleni Janowi przez komisję furazową 2-iej dywizji. Jan pełnił funkcję kapitana tej arki Noego. Jego, kulawego, osiedliło tu dowództwo, polecając: „Młyn zarekwirowany; całe zboże, poruczniku, przemiesz na mąkę, mąkę oddasz żołnierzom... Bierz 4-ch mochów do roboty”.

Więc Jan męł zboże na mąkę. Obracały się koła młyńskie, płynęły strumienie białego mialu, sypali go jeńcy wgłęb worków parcianych. Później tłuste dynie związanych worów ładowano na treny piekarń pułkowych. I tak wciąż wkoło.

Staremu Krajewskiemu, który prośbą i groźbą domagał się dla siebie części przemiału ze swego młyna, Jan zajrzał ostatecznie w oczy i zagroził sądem wojennym. Kiedy stary pojechał ze skargą do sztabu, Jan uśmiechnął się wesoło. Lecz żałośnie spojrzał na swą nogę okulałą, kiedy Lonka wyraźnie stanęła po jego stronie i oświadczyła ojcu, że zostanie w młynie. Tak się wierzyć nie chciało w leczniczą siłę owych ziół, które znachor głowuszewski zapisał Janowi zaręczając pełne wyzdrowienie..

III

Nic się nie zmieniło w młynie po wyjeździe pana Krajewskiego. Były to surowe dni; nikt nie miał czasu na amory. We dnię przytłaczała wszystkich jedna sprawa: mąka, mąka, mąka! Przemiał, ładunek, dowóz. Wieczorami wybierano ziarno na jutrzejszą pracę. Lonka zastawiała wieczerzę. A potem zaraz; spać.

Aż jednego dnia zła wieść uderzyła w miasto i w młyn. Mówiono: wpobliżu wróg. Mówiono: będzie bitwa. Jan wrzusał ramionami. Mocniej jeszcze orał w młynie. Jeńcy aż padali z pracy, klęli, warczeli. Trzymał ich jeno w posłuchu biczem strachu i przemocy.

Jan mawiał: — Jak bitwa, to dopiero mąka potrzebna — Wieczorem w śpichrzu stały nowe szeregi parcianych worków. Lonkę wysłał Jan do miasta; wyczekiwał wiadomości.

Nareszcie, wyglądając przez okno dostrzegł jej postać na płaskiej równi drogi. Oderwał drzwi, nim zdążyła zapukać.

— Lonuś! — pytał troskliwie — co nowego?

Wpadła zadyszana, zasapana. W oczach miała złe nowiny. Podnieconym głosem krzychała:

— Janie, uciekać! Nasi oddali Głowuszewo!.. Tamci mogą tu być lada chwila. Może się już zbliżają pierwsze kozackie pikiety!..

Oszołomiony, odpychał od siebie rewelacje: — Niemożliwe! Strategicznie Głowuszewo...

Jakżeż blado wyglądała teoretyczna mądrość strategii wobec namacalności życiowej! Wobec wymarszu 4-go pułku, wyjazdu władz cywilnych, nieuniknionej bliskości wroga! Krzychała mu to wszystko w uszy, sumując za każdym razem tę samą pozycję: uciekać!

— A mąka? — pytał, — a zboże? Czyżbym dla nich miał tyle uzbierać?

Niecierpliwie likwidowała te skrupuły. Żeby pamiętać: że jest oficerem, że był szorstki i surowy dla jeńców w młynie, że to dzikie bestje, że się będą mścić...

Ale jego dręczyło skąpstwo obowiązku: „Żeby tyle mąki, tyle mąki!.. Chyba... podpalić! Podpalić! Nie zostawić nic!

Kleszczami zawziętości chwycił się tej idei. Założyć konie, w śpichrzu podrzucić ogień, uciec!

Kiedy tak debatowali, zamarł nagle, chwycił ją za ramię, wskazując na ścianę komory. Pojęła wlot. Cienkie przepierzenie oddzielało ich od życia czterech ludzi. Były to dotąd bierne kreatury; nikt ich

nie widział, nikt nawet nie wiedział, czy żyją. Objawiali się tylko w pracy, w robocie, w harunku. Teraz nagle wyrosli do rozmiaru wrogów, do wartości siły, do wyżyn niebezpieczeństwa.

— Cicho! — wykrztusił Jan, — rozumieją po polsku. Kto wie, czy nie słyszeli. Obok komory, w korytarzu, wisi broń!

Pijawkami oczu wgrzyźli się w ścianę, chcąc ją przebić nawyloc. Z komory pełzły ku nim szmery, kroki, odgłosy ruchawki. Gdzieś zamknięto jakieś drzwi.

Przeczekali.

— Lonuś! — ścisnął jej dłoń, — muszę próbować!

Sunąc wzdłuż ścian, stopni, usiłując zniknąć w cieniu nocy, przebijali się ku ciemnym zrębom młyńskiego śpichrza. Goniły ich szmery niesamowitej ciszy, nieunikniona natarczywość poświaty księżycy, napastliwe odgłosy drogi, lasów i pól. Przyklekli. Obracali hubką i krzesiwem. Czerwień iskier chwyciła się wiotkiej żółcizny słomy. Tu i tam zachybotały płomienie.

— Odwrót! — zakomenderował Jan — do stajni! — Przeslizgnęli się przez wpułotwarte wrota. Zaczynała w nich wstępować otucha.

— Wyprowadź klacz — powiedział Jan, — ja wezmę karego.

Wtedy o pół kroku od nich coś się poruszyło. Ukłuli ich w nozdrza niestajenny zapach. W powietrzu błyszczała iskierka.

— Lulka! — krzyknął Jan. — Kto tu lulkę kurzy!?

Możeby lepiej było, gdyby Jan nie rozpalil krzesiwa. Uczynił to jednak. Ujrzeni szeroką, przysadzistą postać, zwróconą ku nim lufą pistoletowej krucicy.

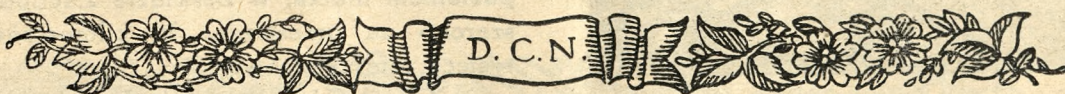
— Jermak! — porwała się Lonka. — Co ty...— Ale zaraz z ciemnych kątów stajni wypełzli jeszcze dwaj. Jeden zbrojny Janową szablą, drugi—zwykłym toporem. Pod taką strażą Jan i Lonka rozpoczęli powrót do młyna.

Nad dachem śpichrza latały już czerwone węzyki ognia, poprzez ściany przebijały się ruchliwe płomienie — śpichrz płonął.

Jermak, dziesiętnik kozacki, machnął niedbale ręką:

— Niczego, za to bude smirt!

Czwarty jeniec oczekiwał ich u stopni wiatraka, witając nadciągającą kolumnę gościnnem otwarciem drzwi.



S. BOROWSKA

WRAŻENIA Z POBYTU W WIŚLE

Błogosławiona bądź, malarjo, chorobę złośliwą i dobroczynną, która gnębisz człowieka długo i wytrwale, lecz zmuszasz go, na szczęście, do zmiany powietrza, do podróży, do ucieczki z miejsca zamieszkania!

Mnie rzuciłaś w góry, do Wisły. Po trzykroć bądź błogosławiona!

Już za Bielskiem, w drodze przez Goleszów, do Polany, ostatniej stacji kolejowej przed Wisłą — majaczą na horyzoncie góry. Jadę w wagonie prawie sama — bo to październik i letnicy powrócili do miasta.

Konduktor, niewątpliwie pochodzący z miejscowej, góralskiej ludności, sprawdza bilet i pyta:

— A pani pewnie do Wisły na odpoczynek? Teraz już zimno. Trzeba było w lecie...

Odpowiadam, że w Warszawie także zimno, więc wszystko jedno...

— A, pani z Warszawy! Ja też byłem w Warszawie, i w Wilnie, i w Lidzie, ale (tu mocny gest ręką) za wszystkie te miasta nie oddałbym jednej tutejszej wioski... ani jednej wioski!



Willa u stóp wzgórza



Biała Wisetka

Uśmiecham się, myślę, że ma rację, i spoglądam w otwarte okno. Jedziemy torem pomiędzy górami. Do wagonu wpada ostre, pachnące powietrze. Nie zapach to żywicy, nie ziemi, nie liści. Nie wiem, co tak pachnie... może wolne, dzikie życie?.. Ja, szary człowieczek z podziemi życia, uczuam niepokój.

Jestem, jak karta, wydartą przypadkowo z książki — karta, pełna własnej treści, zapędzona wiatrem w te lesiste góry. Co mam wspólnego z ich dzikim życiem, z ich szczęśliwym bytowaniem!?

Dojeżdżam do Polany i nastrój pryska. Autobus chwyta mnie wraz z walizką, unosi i wyrzuca po kwadransie u stóp willi „Bukowej“, gdzie mam mieszkać. „Bukowa“ nazywa się tak słusznie, bo stoi na zboczu góry, porosłej rdzawymi od jesiennych przymrozków bukami.

Wpadam w miłe ciepło gościnnego i pięknie prowadzonego pensjonatu pani Janiny Jędrzejowskiej.

* * *

Wisła nie jest właściwie uzdrowiskiem klasycznym. Na szczęście — nie. Ale będzie nim w najbliższej przyszłości. Bo ma wszystkie potrzebne do tego warunki. Jest to górskie miasto na wysokości 430 m. nad poziomem morza, w Beskidzie Zachodnim, rozłożone szeroko na przestrzeni 30 kilometrów, liczące pięć tysięcy mieszkańców.

Z pod Góry Baraniej, do której wycieczka niemal że obowiązuje, wypływa Wisła.

Najpiękniejszym gmachem we wsi jest duża, dwupiętrowa, murowana Szkoła Powszechna. Poza-tem są domy góralskie i wille o przeróżnych nazwach, niektóre związane ze wspomnieniem naszych pisarzy. W „Placówce“ mieszkał kiedyś Bolesław Prus, w „Zofijówce“ Marja Konopnicka. Ochorowicz lubił Wisłę i często tu przyjeżdżał. Jest poczta, telegraf, doktor i fryzjer. Kircha ewangelicka i kościółek katolicki. W tych dniach otwierają tu Szkołę Gospodarstwa.

Górale wiślańscy są ludem rdzennie polskim wyznania ewangelickiego. Na pięciotysięczną ludność Wisły przypada tylko dwustu katolików. To też mały kościółek nie ma swego proboszcza. W letnim sezonie przyjezdny ksiądz odprawia nabożeństwo co tydzień, w zimie — co trzy tygodnie.

Dopytuję się o charakter tutejszego ludu i słyszę odpowiedź, że jest dumny i hardy, gdyż nie znał niewoli. Chłop pracuje wolno, bo żyje przeważnie kartoflami. Nawet zamożniejszy woli oszczędzać. Lubi ciągnąć wszystko do siebie, jak zwykle chłop. Przy sporze o granicę gruntu może zabić. A moralność jego jest całkiem prymitywna, wyrosła z twardej, niechętniej do rodzenia, ziemi.

Tak dziwnem mi się wydaje, że religią tych prymitywnych ludzi jest zimny, raczej na rozumie, niż na uczuciu oparty, protestantyzm.

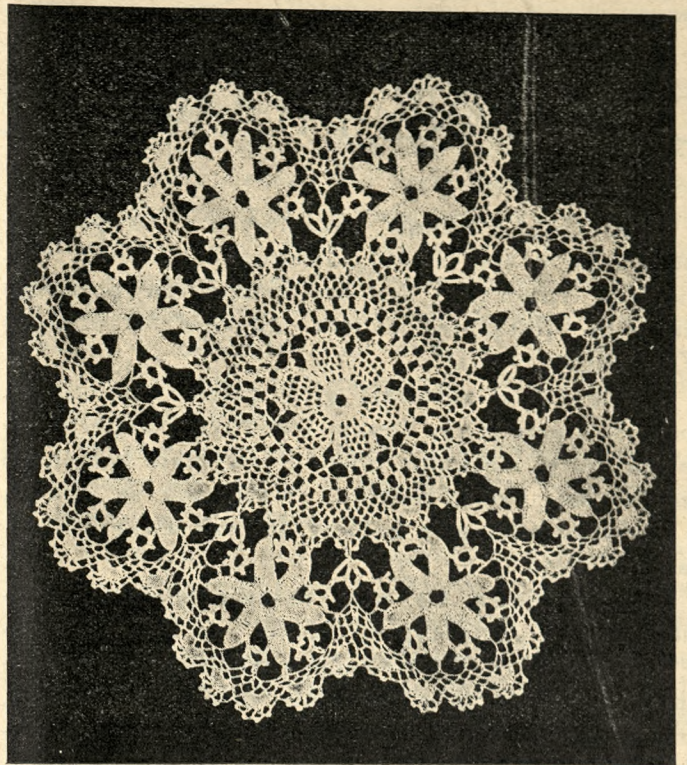
Wielu gazdów jest bardzo zamożnych. Niektórzy wysyłają dzieci na naukę do miasta. Ale jest też i bieda, — jak wszędzie.

W zimie, gdy ustaje zwykła praca przy ziemi, góralki robią koronki niezwykłej piękności, przy pomocy cienkiego szydełka. Motywy deseni są często własnej kompozycji: nader udatnie stylizowane gołębie, szarotki, liście truskawek i t. p. Mężczyźni robią koronki klockowe.

* * *

Wszystko powiedzieć można o Wisłę, ale niepodobna wyrazić jej piękności, bo określenie stanie się banalne i nikt poprzez koronkę słów nie odczuje całego jej czaru. Ciemna zieleń świerków, rude tony potężnych buków i błękitny opar nad górami — to tylko słowa. Pola góralskie i pastwiska na zboczach gór mają koloryt miękki, cały w półbarwach — jesienny. Wzdłuż szosy, przy willach zasadzone kasztany i kłony sieją na ziemię czerwono-złote liście. Nie słychać świegotu ptaków, szumi tylko Wisła i dopływ jej, górski potok, wijący się u podnóża Bukowej. Na wiosnę jest chyba inaczej; ale teraz jesień.

Wisła przedstawia wiele atrakcyj dla turystów: ma piękne wycieczki w lecie, w zimie odpowiedni



Motyw wykonany szydełkiem przez jedną z góralek

teren dla sportu narciarskiego i saneczkowego. Na wiosnę już tor kolejowy dojdzie do samej Wisły.

Z pensjonatów miejscowych wyróżnić należy pensjonat pani Janiny Jędrzejowskiej, w willi „Bukowa“, otwarty przez cały rok. Nadzwyczajna czystość, wygodne łóżka, doskonale wytresowana służba, elektryczność, łazienka, werandy, a głównie — wyborna kuchnia. Sztuka kulinarna staje się tu sztuką piękną. Bardzo piękną. Człowiek zjada więcej, niż może, i nieraz duma, że jeśli są ludzie, co żyją, aby jeść — nie są to ludzie głupi...

Dni mego pobytu w Wisłę są już policzone. Na samą myśl wyjazdu ogarnia mię nostalgja. Gdybyż tak zostać tu na zawsze, no... choćby żoną górala! Opierałabym go i karmiła, dopilnowałabym krowy i wieprzka, i chodziłby zawsze obsyty i oblatany, jak ta lalka... Ale czy to męczyzna odgadnie kiedy, gdzie jest jego szczęście!

Wyjadę więc, ale jeszcze nie jutro! Nie zatrzymajmy sobie ostatnich dobrych chwil... Słońce świeci i buki są rude od jesiennych przymrozków.

Czy mi tylko wyczyścili gruntownie mój Underwood w biurze? Prosiłam koleżanek, wyjeżdżając, żeby tego dopilnowały.

Wisła — październik — 1928 r.



Z. ZALESKA

O RÓWNE PRAWA DLA KOBIET WE FRANCJI

Paryski „Le Temps” przeprowadza od paru tygodni ankietę na temat „Głosowanie kobiet”. Jak wiadomo, sprawa ta jest we Francji na porządku dziennym. (Pisał już o tem „Bluszcz” w rubryce „Ze świata”).

W ankiecie zabierają głos uczeni i publicyści, posłowie i urzędnicy, literaci i kobiety. Naogół przeważają głosy, niechętnie równouprawnieniu kobiet, ze względu na... dobro rodziny. Wysuwane są obawy, że „polityka odciągnie kobiety jeszcze więcej od życia domowego”.

Przypominają się nam czasy namiętnych polemik z okresu „emancypacji kobiet” w Polsce; „Marty” Orzeszkowej. Deklamacje różnego rodzaju i gatunku i ciche, skromne zapytania: dlaczego to kobieta, utrzymująca rodzinę, którą osierocił lub porzucił żywiciel, płacąca podatki, prowadząca przedsiębiorstwo, nie może mieć tych samych praw, co mężczyźni?

Nie wiem, czy wiele kobiet w Polsce słyszało o tem, że nie tak dawno i u nas były próby sondowania opinii sejmowej, w kierunku podniesienia wieku wyborczyń; — była to koncepcja P. S. L. Piast (Witos). Mówiło się między posłami o tem, że odebrać kobietom prawa byłoby może narazić się na wielką walkę, ale — ograniczenie może się udać. I, doprawdy, nie jest to bynajmniej frazesem, gdy mówimy o konieczności pilnowania naszych praw, wprowadzenia większej ilości kobiet do sejmu, bo... „les absents ont toujours tort”. Siedem posłanek? Cóż ich głos może zaważyć?!

We Francji dopominają się kobiety o prawo głosowania przy wyborach do samorządów, a i tego im odmawiają.

W jednym z listów, ogłoszonych w „Le Temps”, pisze p. I. Perrelet-Armand-Delille:

„Jestem członkiem międzynarodowej organizacji kobiecej, liczącej milion członkiń. W ostatnich czasach uczestniczyłam w Kongresie jej, odbywającym się co 3 lata, który zgromadził 800 kobiet. Około 700 z nich należało do narodów, które przeprowadziły u siebie pełne równouprawnienie. Jakież są sprawy, któremi zajmują się te wyborczynie, przeważnie matki dzieciom?”

Głównem ich zadaniem jest podnoszenie życia domowego, walka z tem wszystkim, co je rozstraja: śmiertelnością, alkoholizmem itp. Co było najważniejszym tematem dyskusji? Wychowanie dzieci, ochrona dzieci przeciw wszystkim klęskom społecznym.

„Oto, jak kobiety rozumieją równouprawnienie: nie jest ono dla nich środkiem emancypacji, pojętej, jako dążność do zrównania się z mężczyzną (w jego sposobie życia), lecz narzędziem postępu społecznego. Jeśli francuzki tak nagląco

dopominają się o prawo głosowania, to dlatego, że rozumieją konieczność wypełnienia tego zadania i krzywdę, jaką stanowi niemożność współpracy bezpośredniej nad niem”.

Cały szereg piór kobiecych broni gorąco sprawy równouprawnienia, wysuwając[!] ważne argumenty.

Panowie występują z takimi odpowiedziami, jak np. znanego literata, Marcela Prévost:

„Wyborczynie — nie; wybierane — tak. Dlaczego? Dlatego, że jeśli masy kobiece są niezdolne, to elita jest zdolna do wszystkiego” (cytuje Camille Bruno).

Trudno zrozumieć argumenty przeciwników. W tyłu krajach przeprowadzono już równouprawnienie i bynajmniej nie to odciągnęło kobiety od domu.

Swego czasu, w r. 1917, w wywiadzie, udzielonym dziennikarzom angielskim, wyłożył swój pogląd na prawa polityczne kobiet, Mussolini:

„Nie lękam się — mówił — zwiększenia politycznego wpływu kobiet. Niektórzy ludzie obawiają się, że powiększenie go doprowadzi świat do katastrofy. Temu ja przeczę. Rozpatrując kwestję kobiecą, musimy sobie zadać pytanie: W jakim celu żyjemy? W naszym własnym. A więc kwestję kobiecą trzeba uregulować nie na modłę wieków minionych, lecz według wymagań naszych czasów.

„Nie widzę rezultatów z rozrodzenia się nad tem, czy kobieta stoi niżej, czy wyżej, niż mężczyzna. Przede wszystkim dlatego, że jest zupełnie inna. Powiedziałbym, że rzeczywiście nie wykazuje zdolności do syntezy, co cechuje umysły męskie, że nie jest wielkim, twórczym artystą. Z drugiej strony jednak zawsze uważałem intuicję za zdolność szlachetniejszą od inteligencji. Lada koń może się popisać inteligencją, ale intuicję mają tylko kobiety. I właśnie ta intuicja napawa je nieufnością do polityki i polityków. Dla mnie wątpliwem jest, czy więcej, niż połowa kobiet na świecie zechce kiedykolwiek wykonywać swe prawo głosowania, choćby je uzyskały wszystkie.

„Sprawa głosowania kobiet nie jest sprawą ani demokracji, ani arystokracji. Zdaje mi się, że krajem najbardziej demokratycznym na świecie jest Szwajcaria, a jednak nie dała ona prawa głosu kobietom. Nikt też — sądzę — nie zaprzeczy, że Hiszpanja jest krajem ściśle katolickim, dumnie arystokratycznym, wiernym tradycyjnej formie rodziny. A mimo to Hiszpanja nadała prawo głosowania kobietom i nie spowodowało to żadnej katastrofy.

„Nie mam nic przeciw głosowaniu kobiet, ale nie sądzę, by posiadało to najwyższą doniosłość. Głosowanie nie zmieni nic w obliczu świata, choćby dlatego, że różnice w psychice kobiecej nie decydują jeszcze o różnicy w postępowaniu. Ważniejsze od prawa głosowania jest dla obu płci samoopanowanie, zdolność życia i umierania dla jakiegoś ideału. Rozwój historii rasy ludzkiej w XX wieku

będzie zależał nie od tego, jak ludzie głosują, lecz — co czynią“.

Faktem jest, że sprawozdania, składane Międzynarodowej Radzie Kobiet przez posłanki z różnych państw, odnośnie kobiecej akcji politycznej na terenie sejmów, senatów, samorządów — wszystkie bez wyjątku wymieniają sprawy opieki społecznej: ochrony pracy, opieki nad matką i dzieckiem, opieki nad młodzieżą, walki z alkoholizmem, handlem żywym towarem, chorobami i t. p., brakiem mieszkań i t. d., sprawy szkolnictwa, sprawy gospodarcze. W tych dziedzinach przedewszystkiem kobiety wykazują braki i błędy, i pracuje nad ich usunięciem. Na teren spraw państwowych wprowadzają sprawy, które mają doniosłość państwową, lecz którym tego znaczenia dotąd przez nieświadomość odmawiano. Zdrowie fizyczne i moralne narodu osiągnąć jest właśnie przez te drogi, które wskazują organizacje kobiece, a których ustawowe ujęcie ułatwia i rozszerza pracę na najszersze tereny. Tych dróg zaś nie dopilnują tak wytrwale, tak bacznie parlamentarzyści żadnego kraju, a tembardziej tego, w którym niema równouprawnienia kobiet. To są sprawy, bezpośrednio wynikające z biegu życia rzesz kobiecych; skutki ich niedopatrzenia uderzają bezpośrednio w kobiety i dzieci, w życie ro-

dzinne, w „dom“. Dlatego udział kobiet w ustawodawstwie jest niezbędny.

A co do zarzutu — tak namiętnie wysuwanego przez francuzów — że polityka odciągnie kobiety jeszcze więcej od życia rodzinnego, to jest to zwykły, nieprzemyślany frazes. Od życia rodzinnego odciąga kobiety przedewszystkiem życie światowe, lekkomyślna chęć „błyszczczenia“, żądza zabaw płytkich — stokroć więcej czyniące krzywd, niż wszelkie inne zajęcia i zainteresowania kobiet. Odciąga je pozatem praca zarobkowa — niezbędna dla utrzymania rodziny, bo rodzina przestała być instytucją, gwarantującą kobiecie byt materialny.

Niesposób jest zrozumieć różnice jakie czyni prawo państwowe we Francji w stosunku do swej ludności w dziedzinie politycznej.

Cenzus umysłowy, rozciągnięty na całą ludność — słusznie. Ale cenzus płci?... Wynika z niego, że lada alkoholik, który wtrąca swą rodzinę w otchłań nędzy, jest pożyteczniejszy dla państwa, niż utrzymująca rodzinę pracownica, dzielna działaczka społeczna lub lekarka, a — jak we Francji — posiadająca jej obywatelstwo, p. Skłodowska-Curie.

Oto absurdy, których bronią przeciwnicy równouprawnienia.

PROMIENNY JUBILEUSZ

Dwadzieścia pięć lat temu, w atmosferze wszechwładnie panującej w szkolnictwie apuchtinowskiej metody ucisku i prześladowań za polskość — dwie młode, dwudziestoparoletnie dziewczyny, tchnące wiosnianą urodą i wdziękiem jasnych, promiennych wiarą dusz, przystąpiły do tworzenia wypieszczonej w dziewczęcych marzeniach „Polskiej Świątyni Dziecka.“

Z niespożytym kapitałem wielkiej miłości Boga, Polski i dziecka — młode, niedoświadczone dziewczęta, idąc za niechybnym głosem powołania, poczęły urzeczywistniać szczytne zamierzenia pedagogiczne.

Nieznacznym kapitalikiem pieniężnym, stanowiący cały ich majątek, wystarczył wraz z poręczeniem znanych osobistości w mieście do wynajęcia i urządzenia 7-mio pokojowego lokalu na III piętrze, przy ul. Wiejskiej.

Na pierwszej lekcji w „białej“ szkole, gdzie, w przeciwstawieniu do czarno-żółtych urządzeń szkolnych innych uczelni, wszystko lśniło nieskalaną bielą nowych, miłych dla oka, odpowiadających wymaganiom higieny, ławek, tablic, ścian, drzwi i okien — zgromadziła się 9 września 1903 r. garstka malutkich dziewczynek. Żywy, wesoły, szczebioczący drobiazg, złożony z 9 pociech osobiście znanych rodzin, które miały sposobność ocenić pracę p. Jadwigi Kowalczy-

kówny, czy p. Jadwigi Jawurkówny z ich prywatnej praktyki nauczycielskiej, stał się zawiązkiem życia szkolnego w „Białej Szkole“ przy ulicy Wiejskiej.

Jak się to stało, że bez reklamy, bez zwykłych nawet ogłoszeń przed i powakacyjnych w prasie codziennej, szkoła rosła, z roku na rok zwiększając liczbę uczennic i gromadząc najwybitniejsze siły pedagogiczne — trudno ustalić. Rosła swoją wartością, rozwijała się wewnętrzną koniecznością wzrostu, jak rozwija się wszystko, co zdrowe i mocne, potrzebne, czy konieczne.

To zdrowie moralne, piękno i moc wewnętrzna pozwoliły jej przetrwać ciężkie okresy narodowych i wszechświatowych przesilen: ani prześladowania za czasów rosyjskich, ani strajk szkolny, ani rewolucja, ani wojna światowa — nie zmieniły jej charakteru, nie zatarły jej piętna. Założenie jej nie było przypadkiem: było konsekwencją życiową istnienia jej założycielek. One przetrzymały wszystko, co uderza w człowieka i z człowiekiem się zмага; przetrwały na stanowisku z właściwym sobie pogodnym uśmiechem, mimo ciężkich doświadczeń — ufne i miłujące.

Obdarzone niezwykłym darem orientacyjnym, wycuciem nietylko dziecka, ale ludzi dorosłych i atmo-

sfery chwili, umiały zawsze dobrać sobie odpowiednich współpracowników, tak wśród wychowawców, jak nauczycieli oraz porozumiewać się z rodzicami w indywidualnych i ogólnych kwestiach życia szkolnego.

Nie odstępując od zasadniczych wytycznych głęboko przemyślanego ideału wychowawczego, według którego kształtują powierzone sobie dziewczynki, przystosowują własne wyobrażenia i środki edukacyjne do nowoczesnych postępów i wymagań wychowania i nauczania. Znakomite już w zaraniu życia wychowawczynie dziecka stają się z biegiem lat wybitnymi przewodniczkami młodzieży. Przy współudziale grona nauczycielskiego, w którym występują już dziś dawne wychowanki szkoły, dążą do ulepszenia metod nauczania, gromadzenia pomocy szkolnych, dopełniania biblioteki, ograniczając do minimum osobiste potrzeby, w ciągłej trosce o doskonalenie szkoły i podnoszenie jej poziomu. Współżyją osobiście z obecnymi i byłymi wychowankami, przeżywają z nimi prądy współczesnego życia we wszystkich jego przejawach, tak dodatnich, jak ujemnych, prostują drogi młodych, rozszerzając jednocześnie własne horyzonty. Czujność na wszystko, czem żyje młodzież, pozwala im przeżywać zmienne nastroje następujących po sobie roczników i zachować—młodość. Trudności, piętrzące się w wychowaniu wraz z przeobrażeniem się warunków społeczno-rodzinnych w dobie powojennej,—wzmagają ich energję i twórczość. Jak stworzyły w młodzieńczych swych latach polską Świątynię Dziecka, tak dążą dziś w wieku dojrzałym do polskiej Szkoły Pracy, któraby w zmienionych warunkach narodowo-społecznych uzdolniła wychowanki do zachowania samodzielnej postawy wobec życia, wyrobiła w nich tężyznę fizyczną, moralną i umysłową.

W zreorganizowanym szkolnictwie Niepodległej Polski pensja przetwarza się na 8-klasowe gimnazjum humanistyczne i, jako takie, otrzymuje odrazu pełne prawa państwowe.

W ciągu 25 lat przechodzi przez szkołę około 1500 uczennic; dyplomy z ukończenia pełnego kursu nauk otrzymało po dzień dzisiejszy 397 wychowanek.

Dorośle dziś kobiety na odpowiedzialnych stanowiskach lekarek, nauczycielek, asystentek w wyższych uczelniach, urzędniczek, artystek—utrzymują stały kontakt ze szkołą. Wiele niedawnych uczennic, zdobywając tytuły doktorskie, magisterskie, inżynierskie, często zagląda na Wiejską. Wiele wreszcie zamężnych odwiedza dawne ukochane przełożone wraz z mężami i dziatwą. Wszystkie czują się, mimo rozmaitych warunków osobistego życia, związane ze szkołą, zainteresowane jej rozwojem, planami i przyszłością.

Uroczystość obchodu 25 letniego Jubileuszu istnienia szkoły odbyła się zgodnie z wyraźnym życzeniem kierowniczek: żadnych oficjalnych występów,

akademij, przemówień, ni odznaczeń! Ciche nabożeństwo w kaplicy Przytuliska, potem przyjmowanie prawdziwych przyjaciół w lokalu szkolnym. Charakter Jubileuszu nacechowany był piętnem szkoły: był promienny. Gdy przez sale lokalu szkolnego przeciągnęły liczne rzesze dawnych i obecnych wychowanek, rodziców, mężów i dzieci, dawnych i obecnych nauczycieli—czuło się w tej białej, słonecznej, ślicznie ukwieconej przez uczennice szkole—bezpośrednią, życzliwą od-danych serc, płynącą głębokim nurtem przywiązania i czci, wdzięczności za przeszłość i wiary w przyszłość.

I. M.

SPORT I WYCHOWANIE FIZYCZNE

Sezon sportowy na boiskach dzięki pięknej pogodzie trwał w tym roku wyjątkowo długo. Lekkoatletki nie mogły się rozstać z bieżnią, dyskiem, oszczepem. Jesienne słońce zachęcało do wykorzystywania każdej wolnej chwilkki na świeżym powietrzu. To też chlubnie się kończy okres letni, a pobite rekordy świadczą, że kobiety do ostatniej chwili pracowały sumiennie i wytrwale.

Niespodziankę robi Krajewska—młoda, nieznana dotychczas zawodniczka z Poznania, ustanawiając nowy rekord Polski w skoku wzwyż, wynikiem 141,5. Forma zawodniczki bardzo ładna, przejście nad poprzeczką lekkie, odbicie mocne—pozwalają wróżyć p. Krajewskiej poprawienie rekordu i osiągnięcie ładnego wyniku w przyszłości. Nowy ten rekord został usta-



Mecz hazeny. Warszawa — Łódź

nowiony na zawodach międzyklubowych A. Z. S. Poznań—Sokół Poznań. Wygrały akademicki wynikiem 57:45. Mecz ten, a właściwie walka o pierwsze miejsce, był rozgrywany między wszechstronną, utalentowaną zawodniczką AZS-u Lanżanką i zawodniczką Sokoła, doskonałą sprinterką Kasprzakówną.

W Krakowie na zawodach, urządzanych z okazji otwarcia boiska K. Sportowego „Wawel”, Lonka, zawodniczka Cracovii, ustanowiła rekord światowy w rzucie oszczepem oburącz i nowy rekord polski w rzucie oszczepem ręką dowolną. Wyniki następujące: rzut ręką prawą 36,90 metrów (rekord polski), rzut lewą 21,19 m., razem więc 58,09 m. — lepiej o kilka metrów od wyniku światowego. Niestety, klub sportowy „Wawel” nie należy do Polskiego Związku Lekkoatletycznego, protokoły rzutów nie mogą więc być uznane, a temsamem rekordy zatwierdzone.

W Warszawie odbył się niedawno ostatni punkt programu Mistrzostwa Polski dla Pań, a mianowicie rzut dyskiem oburącz. Punkt ten, przeprowadzony na Mistrzostwach Polski w Krakowie, nie został uznany, gdyż spóźniona pora i ciemności na boisku nie pozwoliły zmierzyć wyników zawodniczek. Do zawodów tych stanęły teraz tylko dwie zawodniczki z Warszawy:—Konopacka z AZS u i Kobielska z Polonji. Konopacka pobiła swój własny rekord światowy rzutem 66,48,5. Kobielska miała również ładny wynik 58,99,5.

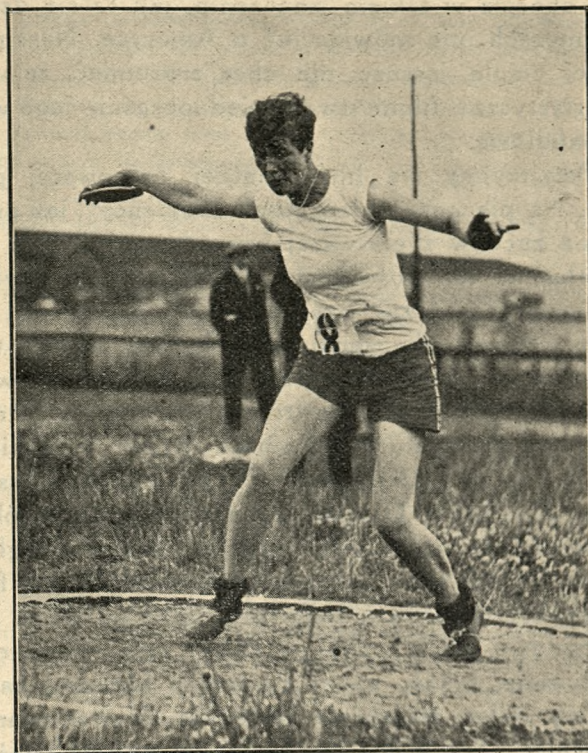
* * *

Urządzony przez Polski Związek Gier Sportowych pierwszy międzymiastowy mecz hazeny, między reprezentacją stolicy i Łodzi, przyniósł zwycięstwo Warszawiankom, które grały kombinacyjnie, wykazując doskonale zgranie i piękną technikę. Wyróżniły się: Chrupczałowska i Kopciuchówna, grające w ataku. Wynik 12:1. Łodzianki wykazały duże braki techniczne, jednak grały bardzo ambitnie i dzielnie, zdobywając jedną bramkę dla swych barw.

Również dla propagandy gier sportowych wśród kobiet na prowincji rozegrał P. I. W. F. (drużyna Państwowego Instytutu Wychowania Fizycznego) mecz hazeny w Siedlcach z miejscową reprezentacją, zwyciężając w stosunku 10:1. Przewaga studentek znaczna, mimo iż Siedlczanki grały ofiarnie i ambitnie.

* * *

W obecnej chwili odbywa się w Warszawie kurs Rodziny Wojskowej dla kierowniczek klubów sportowych. Kurs ma charakter informacyjny, jednak przewiduje prócz wykładów teoretycznych 24 godziny zajęć praktycznych. Celem kursu jest zorientowanie przyszłych kierowniczek Klubów w całokształcie zagadnień wychowania fizycznego i sportów. Uczestniczek trzydzieści parę, reprezentujących całą Polskę. Po skończonym kursie przybędzie znów garstka zapa-



Lonka (Cracovia) w rzucie dyskiem

lonych entuzjastek sportu, które wezmą się do zmuśnej pracy organizacyjnej. Dzięki im w zapadłych kątach Rzeczypospolitej rozpocznie się akcja wychowania fizycznego dzieci i kobiet.

M. Miłobędzka.

Z ŻYCIA EKРАНU

(Produkcja krajowa. — Grzechy i cnoty polskiego filmu).

Fakt, że od początku bieżącego sezonu, t. j. w przeciągu 8 tygodni, widzieliśmy już pięć filmów polskich, pozwala przypuszczać, że nasza produkcja krajowa wchodzi na normalne tory. Zamiast jednego filmu na rok, wyprodukowanego przez jedną wytwórnię — jak to bywało do niedawna — mamy już rywalizację reżyserów, wytwórni i scenarzystów. A jednak pisanie o filmach polskich ciągle jeszcze jest zadaniem niewdzięcznym, a nawet — niebezpiecznym. Jedna ze sprawozdawczyń filmowych, która w piśmie codziennym umieściła rzeczową i bezstronną, lecz niezbyt pochlebną ocenę obrazu polskiego, naraziła się ze strony wytwórni i jej reżysera na nieprzyjemności, których epilog rozegra się w... sądzie. Może to związanie sztuki filmowej z przemysłem wytwarza wokół filmu naszego tę atmosferę raczej handlową, niż artystyczną, która jednakże nie przyczynia się do tego, ażeby nasza kinematografia zajęła jakąś pozycję w wytwórczości krajowej i stała się przemy-

słem, chociaż w takim znaczeniu, jak to się dzieje w Niemczech, nie mówiąc już o Ameryce. Nasi producenci ciągle jeszcze nie chcą zrozumieć, że wartość artystyczna filmu stwarza jednocześnie jego wartość handlową.

Przyjrzyjmy się bliżej naszej najnowszej produkcji. Na pierwszy ogień poszli „Szaleńcy“, jak przystało na zuchów z pierwszej brygady, gdyż film ten był właśnie im poświęcony. Niestety! nie byłam w Warszawie podczas wyświetlania tego obrazu i nie miałam okazji zobaczenia go. Napiszę więc o tem innym razem. Dziś zajmę się pozostałymi. A więc z czterech obrazów — do trzech zaczerpnięto treść scenariuszy z literatury („Romans panny Opolskiej“, „Kropka nad i“, „Dzikuska“) — Tetmajer, Maupassant i pani... Zarzycka. O tem, czem może być przeróbka filmowa dzieła literackiego, pisałam już w ubiegłym sezonie. To też nie rozdzieram szat nad samym faktem zapożyczania się u literatury, gdyż w filmie, tak jak i wszędzie, każdy rodzaj jest dobry, prócz — nudnego. Nie uważam także, ażeby do wersji filmowej nadawały się tylko arcydzieła literackie. Nawet, wprost przeciwnie: — jeżeli coś jest w jednej postaci właśnie arcydziełem, a więc czemś skończeniem doskonałym, przetransponowane na inny rodzaj sztuki, — musi stracić. Niebezpiecznie jest realizować to, co zostało zasugerowane czytelnikowi przez genialnego pisarza. Nieucieleśniona wizja zawsze będzie piękniejsza, głębsza, pełniejsza, będzie miała urok muzyki, w której zawsze jest przecież coś niedopowiedzianego. Dlatego zdaje mi się, że do realizacji filmowej nadają się raczej takie utwory, które, jako „czysta“ literatura, nie mają epokowej wartości, natomiast są odpowiednim szkicem do obrazu, który realizator filmowy powinien stworzyć według zasad i wymagań swojej sztuki. W wyborze powieści do przeróbki filmowej należy więc kierować się nie tem, czy jest to powieść pisarza świetnego, czy tylko drugorzędnego, lecz jedynie tem, czy jest ona odpowiednią kanwą dla talentu reżysera. Najczęściej jednak wybór powieści do filmowania jest przypadkowy (przypuszczam, że tak było z „Romansem panny Opolskiej“), albo powodowany t. zw. „poczytnością“, jak to miało miejsce z „Dzikuską“. Wobec tego, co powiedziałam wyżej, nie powinno mnie razić, że zrobiono film z tej właśnie książki, która wogóle chyba nie może mieć pretensji do literatury, nawet — drugorzędnej. Mogłaby to być przecież zła literatura, ale dobry scenarjusz. Niestety, jedno i drugie jest okropne! Narzeka się na to, że scenariusze amerykańskie są naiwne.

Ale tam jest to naiwność dzieci, tu — naiwność kretynów. Tam jest optymizm, radość życia i chęć uczynienia go piękniejszym, ale przecież jest to życie, to samo, które płynie za bramą kinoteatru, tylko nie tak okrutne, mające zawsze w pogotowiu nagrodę dla grzecznych dzieci.

Tutaj — jest to jakaś fikcja, zagubiona w czasie i przestrzeni, karykatura polskiego dworu, karykatura swawolnej dziewczęcości, karykatura życia. Widywalismy już na ekranie różne amerykańskie „dzikuski“, kapryśne jedynaczki, ekstrawaganckie zbytnice, z którymi nikt (do czasu, oczywiście!) nie mógł sobie dać rady. Ale żadna nie była w konflikcie z... higieną osobistą. Nasza rodzima dzikuska musi się dopiero zakochać, ażeby... umyć głowę. I też nie potrafi tego zrobić sama, lecz musi prosić o pomoc... korepetytora. Jest to scena tak samo niesmaczna i pozbawiona wdzięku, jak nocna wizyta w negliżu u młodego człowieka oraz przebieranie się w jego obecności. „Naiwność“ ta jest mocno dwuznaczna i graniczy albo z niedorozwojem, albo z perwersją. Jeżeli to się nazywa „słoneczną historją“, a co gorzej — „polską komedją filmową“ — wystawia się fatalne świadectwo naszemu poczuciu humoru.

Co z tym fantem począć ma reżyser? Pańskim gestem rzucił nam kilka efektów, świadczących o tem, że umie patrzeć na świat „kinowemi oczyma“ (początek filmu), dał kilka dobrze wybranych pejzażów, ładny obchód „wianków“ i na tem koniec. Reszta go najwidoczniej nudziła, więc jest zupełnie „puszczona“ (katastrofa) lub zbanalizowana. Malicka nie dodała wdzięku „dzikusce“ (może potrafiłaby to zrobić Colleen Moor lub Clara Bow), za to ujęła go... sobie. Pomimo dobrej, tym razem, szminki, jest w pierwszej części zmieniona do niepoznania. Szkoda doprawdy jej ofiary, jaką zwykle jest dla kobiety, w dodatku ślicznej — przedstawianie się w niekorzystnych warunkach.

Druga „pożyczka“ u literatury jest jeszcze większym grzechem, nie tylko już wobec kinematografji, lecz wobec zasłużonego poety. Bierze się najślabszą powieść Tetmajera, pozbawioną pierwiastków kinetycznych, i robi się z niej karykaturę, w najlepszej wierze, że jest to czyn artystyczny. Nazwisko wielkiego pisarza jest wabikiem dla publiczności i — tarczą przed krytyką. Obraz ten jest pod względem społecznym wysoce niemiły, zaś pod względem kultury filmowej (gry, zdjęć, techniki, montażu, wystawy i t. d.) stoi poniżej poziomu obrazów, na które kulturalny widz może patrzeć bez irytacji i niesmaku. (D. c. n.)

St. Heymanowa.



Kobieta w świecie i w domu

KURSY SZKOLENIA MATEK

Brak przygotowania kobiet do obowiązku matek-wychowawczyń wywołał konieczność zapoczątkowania akcji, której zadaniem jest przygotowanie kobiet do należytego wychowywania dzieci swoich na ludzi zdrowych fizycznie i moralnie.

Na tej zasadzie w Towarzystwie Eugenicznym powstała nowa Sekcja autonomiczna Kursów Szkolenia Matek w zakresie wieku dzieci: niemowlęcego i przedszkolnego, — która od 1-go stycznia 1929 r. organizuje dwa kursy: Pierwszy, wyższy, sześciomiesięczny, z wykładami 4 razy na tydzień po 2 godziny, od 5-ej do 7-ej wiecz. dla kobiet od 18-go roku życia wzwyż, które ukończyły conajmniej szkołę powszechną. Drugi, niższy, czteromiesięczny — dla kobiet również od 18-go roku życia, bez cenzusu szkolnego, z wykładami o poziomie popularniejszym, 2 razy na tydzień po 2 godziny, od 5-ej do 7-ej wieczorem.

Program kursu wyższego:

I. Wykłady higieny ogólnej z bakterjologią, eugenika, higiena rasy, higiena kobiety i macierzyństwa, higiena dzieci i pielęgnowanie niemowląt, oraz wychowanie fizyczne i ratownictwo. Razem na wykłady higieniczne przeznaczono godzin 70.

II. Wykłady pedagogiczne podzielone zostały na 5 grup:

1) Nauka o dziecku od urodzenia do lat 7-miu omówi ruchliwość czucia, instynkty, zainteresowania, zabawy, oraz poszanowanie, należne wiekowi dziecięcemu.

2) Zagadnienia wychowawcze: sprawa planowości w wychowaniu, dziedziczność, odpowiedzialność wobec dziecka, kwestja przykładu, przyzwyczajenia; zabawy i zabawki, przystosowane w praktyce do zajęć dziecka w wieku przedszkolnym; następnie wady i kaprysy dziecka, sugestja w życiu dziecka, wdrażanie dziecka do pracy, poszanowanie samodzielności dziecka, wpływanie na jego rozwój umysłowy. Znaczenie przedszkola, stosunek dziecka do otoczenia (rodzice, rodzeństwo, otoczenie obce, przyroda żywa i martwa, dziecko w domu, na ulicy); książki i pisma dla dzieci i matek, biblioteczka, rozrywki (kino, teatr, cyrk, spacer itp.) z punktu widzenia wychowawczego. Dziecko nerwowe i oddziaływanie wychowawcze na nerwowość dziecka.

3) Tematem trzeciej grupy są dzieci, trudne do prowadzenia (pedagogja specjalna).

4) Czwarta grupa obejmuje prawodawstwo, dotyczące dzieci i ochrony macierzyństwa.

5) W piątej omówione będą instytucje społeczne dla dzieci u nas i zagranicą, przyczem słuchaczki zwiedzać mają miejscowe zakłady wychowawcze.

Pozatem udzielane będą wskazówki i wzory, jak przygotowywać należy wyprawkę niemowlęcia.

Ogółem na wykłady pedagogiczne przeznaczono godzin 110.

Kurs niższy dla kobiet bez cenzusu szkolnego obejmuje popularne wykłady na tematy następujące:

- 1) Wskazania higieniczne.
- 2) Pielęgnowanie niemowląt.
- 3) Jak należy wychowywać dziecko.
- 4) Zajęcia i zabawy dziecka w wieku przedszkolnym i znaczenie przedszkoli.

Wykłady obu kursów odbywać się będą w lokalu Tow. Eugenicznego, Nowy Świat Nr. 1, zapisy zaś słuchaczek przyjmują się w tymczasowym sekretarjacie przy ul. Żórawiej 21 m. 4, codziennie oprócz niedziel i świąt od 4.30 popoł. do 6-iej wiecz. Zakończone będą dnia 1-go grudnia.

Oplata za kurs wyższy wynosi 50 zł., przy zupełnym uwolnieniu od niej 50% słuchaczek. Pozatem jeszcze stosowane będą ulgi, odpowiednio do stanu zamożności uczennic.

Od ustanowionej opłaty 15 zł. za kurs niższy — 50% słuchaczek również będzie zwolnionych zupełnie, pozostałe zaś otrzymają ulgi wrazie niezamożności.

ŚWIETNY SEZON SPORTOWY WIOŚLAREK WARSZAWSKICH

Zamknięcie przystani Warszawskiego Klubu Wioślarek na sezon zimowy stało się okazją do bilansu działalności letniej.

Rozwój Klubu wykazuje nadzwyczajne postępy. Niema prawie członkiń niećwiczących. W sezonie letnim nauczyło się wiosłować 200 nowicjuszek. Z lekcyj pływania korzystało 150. Egzaminu pływackiego zdało 25, wyższe klasy wiosłarskie zdobyło 20 członkiń. Do zawodów wiosłarskich i pływackich stało 78 wioślarek.

Turystyka wiosłarska miała w tym roku warunki mniej pomyślne z powodu niskiego stanu wody i niesprzyjających warunków atmosferycznych. Jednakże członkinie Klubu przejechały ogółem 26.827 kilometrów, i odbyły 20 wycieczek ponad 100 km. Ilość wyjazdów wzrosła o 100% w porównaniu z rokiem ubiegłym.

Podczas uroczystości zamknięcia przystani prezeska Klubu p. dr. Zofja Zabawska-Domosławska pożegnała sezon wiosłarski, zapowiadając jednocześnie ćwiczenia i zajęcia zimowe, jak: gimnastyka, narciarstwo, gry, roboty ręczne, chór, organizowane staraniem Klubu dla członkiń (Krak. - Przedm. 99, parter).

Największym sukcesem sezonu zimowego będzie jednak basen wiosłarski zimowy, dzięki czemu trening wiosłarski starych i nowowstępujących członkiń będzie bez przerwy prowadzony do wiosny. Nowość tę wioślarki przyjmują entuzjastycznie.

Zamknięcie sezonu uzupełniło rozdanie świadectw pływackich i odnaczeń (żetonów) za największą ilość przejechanych kilometrów i za największe wycieczki turystyczne. Pierwsze miejsca zajęły p. p.: Szpachtowa (przeszło 1.000 km.), Przychodówna i Meleniowska.

J. K.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

- M. Pawlikowski i M. Wolska: „Artur i Wanda” (2 tomy) (dzieje miłości Grotgera). Biblioteka Medyczna.
- J. London: „Malańka Pani Dużego Domu” — przekład Wandy Borudkiej. Tow. Wyd. „Rój”.
- A. Ossendowski: „Pod Polską banderą” — Książnica-Atlas.
- J. Dickstein-Wieleżyńska: „Okiść” (poezje) — Księgarnia F. Hoesicka.
- B. Szczepkowska: „Oczy, które zabiły” — Wielkopolska Księgarnia Nakładowa.
- J. Watra-Przewłoc i: „Prawdziwy mężczyzna” — Wielkopolska Księgarnia Nakładowa.
- J. Watra-Przewłoc: „Bagno” — Wielkopolska Księgarnia Nakładowa.
- Dr. Witold Nowicki: „Co to jest choroba raka i na czym polega jej zwalczanie?” — Książnica-Atlas.
- Marek Fabjusz Kwintyljan: „O wykształceniu mówcy” — Książnica-Atlas.
- Władysław Witwicki: „Zarys psychologii” — Książnica-Atlas.
- Dr. E. Artwiński: „O chorobach nerwowych wieku dziecięcego” — Książnica-Atlas.



PROSZEK
KOGUTEK
DLA DOROSŁYCH

USUWA NAJUPORCZYWSZY
BÓL GŁOWY

CHCĄC NABYC PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEZY PRZY KUPNIE AKCENTOWAC I WYRAZNIC ZADAC ORYGINALNYCH PROSZKOW Z „KOGUTKIEM” GASECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGE I ODRZUCAJCIE UPORCZYWIE POLECANE. NASLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.



Wykład w szkole fryzjerskiej w Poznaniu

ŚLADAMI ZAGRANICY

Fryzjerstwo jest fachem, do którego kobiety podchodzą przeważnie wolno i nieufnie. Nie dlatego, żeby nie wierzyły we własne siły, bo któż może mieć lżejszą rękę i więcej smaku artystycznego w tym zakresie, aniżeli kobieta? ale dlatego, że właśnie w tej dziedzinie trudniej jest widocznie, niż w innej, obalić mur tradycji. A tradycja ta jest dawna, bo mylnie sądzimy, że w naszych dopiero czasach fryzjer jest despotycznym władcą pięknych pań: był nim już raz, w czasie królowania wysoko spiętrzonych białych peruczek i kunsztownie układanych piramid z włosów. I odtąd także datuje się tradycja fryzjera-mężczyzny.

Obecnie kobiety, trochę nieśmiało coprawda, poczynają wkraczać w tę nietkniętą przez nie dotychczas dziedzinę, ale, rzecz dziwna: zamiast spotkać się z ogólną życzliwością i aplauzem, potykają się o wielką ilość przeszkód. Przedewszystkiem, tak zwane „klientki“ są tak fanatycznie przywiązane do swoich panów Edwardów, Kazimierzów, Henryków, etc., że za nic na świecie nie chcą ich zamienić na pannę Kazię, Manię lub Stasię, których małe, zręczne rączki umieją tworzyć istne arcydzieła. Tylko, że nikt tych arcydzieł nie jest ciekawy. Powtóre: koledzy-mężczyźni są bardzo mało koleżeńscy; przeczuwając w kobietach niebezpieczne rywalki, utrudniają im pracę na każdym kroku. Wreszcie, najważniejszym powodem małego zainteresowania się kobiet fryzjerstwem jest brak specjalnych szkół fryzjerskich dla kobiet.

Nie każda, bowiem, z dziewcząt zdecyduje się wstąpić do szkoły ogólnie kształcącej i być jedną ze stosunkowo niewielu kobiet w tłumie mężczyzn, drwiących, nieprzyjemnych i przeważnie mało kultural-

nych. Jak ważną rolę w rozwoju fryzjerstwa kobiecego odgrywa dobrze postawione, fachowe szkolnictwo, mamy dowód na Poznaniu, jedynym mieście Polski, gdzie istnieje szkoła fryzjerska dla kobiet. Rezultaty tego są oczywiste: niema, bowiem, ani jednego lepszego zakładu fryzjerskiego, gdzieby nie pracowały kobiety w dużej większości. Dziwnem mi się to wydało po Warszawie, gdzie kobiety-fryzjerki, często bardzo zdolne i zręczne, pracują albo zupełnie prywatnie, albo też w ostatnio-rzędnych zakładach, za bardzo marnem wynagrodzeniem. Poznańskie fryzjerki są szanowane narówni z pracownikami-mężczyznami, pracują z zapałem i wnoszą to, co jest właściwe właśnie tylko kobietom pracującym: atmosferę idealizmu. Doskonale rozumiem, że zestawienie idealizmu z czesaniem à la garçonne, lub zakręcaniem loczków, może się wydać zgoła groteską, jednak nie cofam tego słowa: idealizmem jest dla mnie, bowiem, zupełne uświadomienie społeczne młodych pracowniczek, uświadomienie, które włożyło w usta ładnej panny Kazi, zawijającej mi kunsztowny loczek nad czołem, słowa: — Bo przecież i dla drugich trzeba coś robić w życiu, nieprawda?—Panna Kazia robi coś „dla drugich”, bo po ciężkiej, całodziennej pracy urzęduje w Związku fryzjerów, rozumiejąc doskonale, że związek fryzjerów— to jedno maleńkie ogniwo w wielkim łańcuchu Polskiej Pracy i że to dlatego jest bardzo, bardzo ważna rzecz. Tego się nauczyła w szkole. Obok bowiem, fachu, szkoła ta, założona przez Cech Perukarzy Damskich w Poznaniu, jest zarazem doksztalającą, a nawet ogólnemu wykształceniu poświęca większą ilość godzin, niż pracy zawodowej.

Studja zawodowe obejmują fryzjerstwo w jaknajszerszym zakresie, bo: manucure, ondulację, farbowanie, wyroby z włosów, masaże, a nawet budowę przyrządów. W dziale ogólnokształcącym jest poza tem książkowość zawodowa.

Kurs trwa 3 lata, a cała niedogodność polega na tem, że, ponieważ za naukę nic się nie płaci, należy ją „odrabiać” w charakterze praktykantki w którymś z większych zakładów. A więc cały dzień ciężkiej pracy, a w godzinach wieczornych nauka, która bynajmniej nie jest specjalnie łatwą. W każdym razie szkoła ta, jedyna, zdaje się, w Polsce, jest pierwszym krokiem wstępowania w ślady zagranicy, gdzie kobiety-fryzjerki spotyka się równie często, jak fryzjerów-mężczyzn. Sporo czasu pewnie jeszcze upłynie, zanim powstanie odpowiednia szkoła państwowa. Narazie Ministerstwo W. R. i O. P. subsyduje tylko szkołę w Poznaniu.

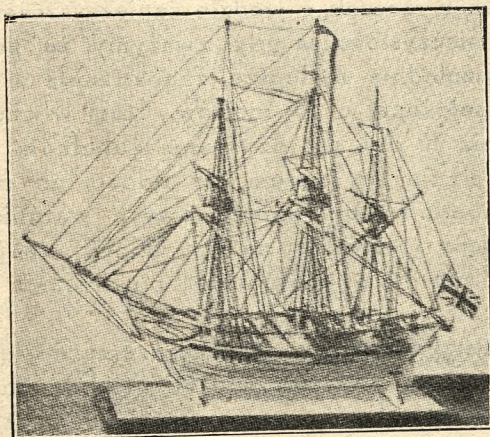
Wszelkich bliższych informacji może udzielić dzielny kierownik szkoły, pan A. Kolendowicz — Poznań, ul. Św. Marcina 17/18.

Podobno ma powstać w Warszawie Akademia Fryzjerska, na wzór istniejącej w Wiedniu. Oby nie zapomniano w niej o kobietach!

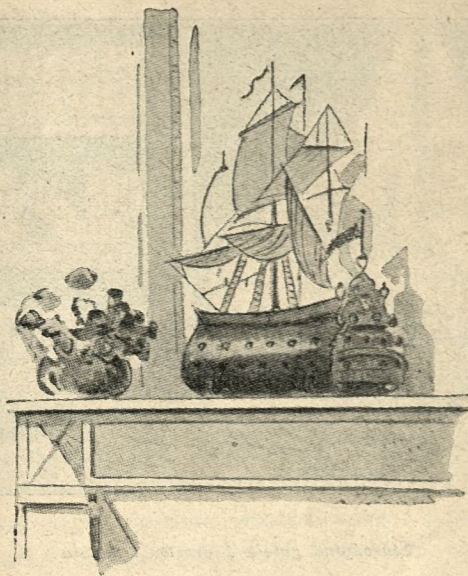
Zofja Miszewska.

POŻYTECZNA MODA

Czy świat zmęczył się szybkością lokomocji ostatniej doby, czy też ma dosyć kurzu, zapachów samochodowych, wyziewu maszyn i... postępu, kiedy coraz częściej ogarnia go tęsknota za tą niby pogardzoną przeszłością i coraz częściej powraca do średniowiecznych upodobań?... Świeżo odbyta przez panę Dorange konna podróż po Europie wzbudziła ogólne zainteresowanie; wielkie letnie wycieczki na wózkach, skromnie zaprzężonych w zwykłe koniki, nie mające nic wspólnego z szybkością 100 kilometrów na godzinę; morskie wyprawy, trudne i wymaga-



Trzymasztowiec z kości słoniowej



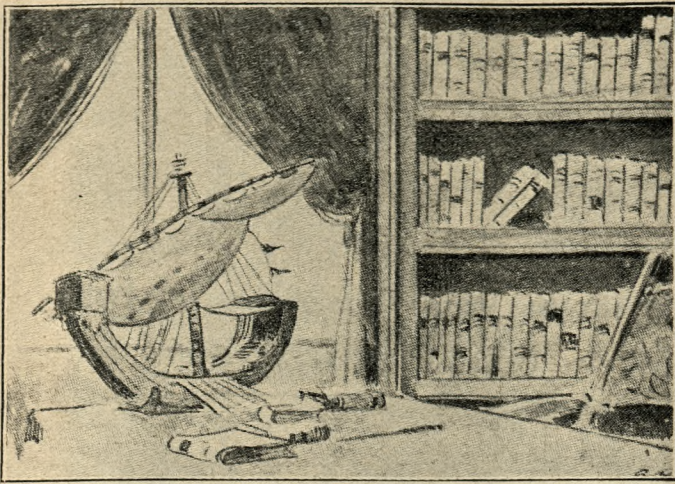
Artystycznie wykonane stateczki zdobią stoliki i konsole

jące dużej sprawności fizycznej, na barkach żaglowych, posuwających się bardzo powoli, w przeciwieństwie do wspaniałych jachtów parowych o szybkich i aż nazbyt dokładnych maszynach, — stwierdzają te przypuszczenia. Nawet wszechwładnie panująca w zdobnictwie moda statków, stateczków, trzymasztówek, galer, okrętów korsarskich i fregat pełnych lekkości i wdzięku XVIII stulecia, są tego wyraźnym dowodem,

Co dało początek tej modzie? Czy niezatarte wspomnienia uroczych podróży, czy też niezaspokojone pragnienie ich, zdające się bliższe urzeczywistnienia w otoczeniu tej czarownej flotylli? Dość, że statek zajął dominujące miejsce w dziedzinie dekoracyjnej. Jego urozmaicone podobizny powtarzają się wszędzie, a maleńkie stateczki, wykonane artystycznie z kości słoniowej, z koralu i różnych mniej lub więcej kosztownych metali, zdobią kominki, stoły i stoliki, konsole, na których, odbijając się w lustrach, szczególnie ładnie wyglądają, nasuwając myśli o niespełnionych nadziejach, o nieurzeczywistnionych dotąd marzeniach.

Widząc te cacka i ozdoby o żeglarskim charakterze, oswajamy się z morzem, zblizamy się do niego, czujemy tęsknotę za niem, pragnienie poznania i opanowania go. Moda, często powierzchowna i lekkomyślna, tym razem stała się narzędziem użytecznej propagandy: — patrząc na wprowadzone przez nią wzory, stajemy się potrochu żeglarzami, a zdobiac nasze wnętrza eleganckimi bibelotami w kształcie różnorodnych bark i okrętów, budujemy wokół nowe pomysły, nowe wynalazki, wyrastające na gruncie przeszłości, wzmacniające energję i odwieczny pociąg człowieka do przygód i zdobyczy.

Estetyka zyskuje również na zastąpieniu niejednokrotnie odpychająco brzydkich pomysłów nie-dalekiej przeszłości, przez te pełne wdzięku nowe modele. W interesie naszego kraju specjalnie leży



Starożytna galeria z drzewa i metalu

SZÓSTY ZJAZD GOSPODYŃ

Szósty doroczny Zjazd Gospodyń, należących do Kół przy Centralnem Towarzystwie Rolniczem, zgromadził w Częstochowie około 3000 uczestniczek, które z największą powagą i przejęciem obradowały przez trzy dni, t. j. 5, 6 i 7 listopada.

Imponujący ten Zjazd stanowi wymowny dowód wzrastającego uświadomienia polskich gospodyń, oraz dążenia ich do postępu gospodarczego i oświaty.

Wzrost liczby uczestniczek Zjazdów jest wprost żywiołowy: w 1924 r. było ich 170, w 25—400, w 26—700, w 27—2000; w roku bieżącym ogromna sala panoramy Częstochowskiej była już przepełniona do tego stopnia, że około 1000 kobiet, stojąc w przejściach, brało udział w naradach, trwających od 8-ej rano do 8-ej wieczorem, z dwugodzinną zaledwie przerwą obiadową; a jednak nawet te uciążliwe warunki nie skłoniły ich do opuszczenia sali.

Wśród wielkiej liczby przybyłych znajdowały się takie, które brały udział w pierwszym Zjeździe i odtąd nie opuściły ani jednego.

Obradom przewodniczyła, jak zwykle, p. Aniela Zdanowska; ona też obmyśliła i opracowała każdy, najdrobniejszy szczegół Zjazdu, począwszy od sprawozdania z działalności Kół i Okręgów, a kończąc na ślicznej wieczornicy.

Zjazd rozpoczyna się zwykle od sprawozdań i uwag, które one następczą, poczem następują odczyty treści gospodarczej, społecznej i wychowawczej.

Odczyt gospodarczy miał w tym roku za zadanie ujęcie głównych zasad odżywiania rodziny rolnika i zaopatrzenie wsi w wodę. Te sprawy należą do zagadnień podstawowych, ale traktowane są dotychczas w Polsce, jako coś podrzędnego i błahego; są prosto niedocenione.

Zaopatrzenie w wodę naszych zagród wiejskich jest w wielu wypadkach niedostateczne, często opłakane, a czasami nawet rozpaczliwe. Zdarza się niekiedy, że odległość zagrody od studni wynosi od 1—3 kilometrów; zdarza się nawet czerpanie wody do picia i do gotowania z rzeczek o wodzie zanieczyszczonej przez ścięki i nieczystości; a gdy zważymy, że gospodyni, mająca względnie najlepsze zaopatrzenie w wodę ze studni, położonej o 10 metrów, traci w ciągu roku więcej, niż 30 dni, na dźwiganie kubelków wody, to dopiero stanie się jasnym, że dopóty nie może być mowy o podniesieniu podstawowych warunków kultury, higieny i czystości na wsi, dopóki zaopatrzenie domów i zagród w dobrą wodę nie zostanie przeprowadzone.

Niebezpieczeństwo gruźlicy, szerzącej się od czasu wojny w zastraszający sposób, skłoniło do obrania walki z tą chorobą za temat drugiego odczytu, ilustrowanego przez film propagandowy. Trzeci odczyt miał jako przedmiot opiekę nad dziećmi w wieku

jak najszerze rozpowszechnienie tej mody. Mądrze wyyskana, może być bardzo pomocną dla szerzenia propagandy zaledwie powstającej polskiej floty. To też korzystajmy z przykładu zagranicy, malujmy, wypalajmy, drukujmy, haftujmy łodzie i łódeczki, stosujmy je, jako ulubiony motyw dekoracyjny. Dzieciom dawajmy w podarunku flotyllę różnych konstrukcyj, przyzwyczajajmy je do patrzenia na nie i obchodzenia się z niemi; budźmy w ich duszyczkach od wczesnej młodości zamiłowania żeglarskie; rozwijajmy je, jako zapowiedź świetnej przyszłości dla kraju i dla nich, bo morze uszlachetnia ducha ludzkiego, a krajowi niesie dobrobyt.

A jeżeli w zabytkach starych dworów wiejskich (bo moda ta już była) znajdziemy pokrytą pyłem, o wdzięcznych kształtach, fregatę, nie odrzucajmy jej z pogardą, jak niepotrzebny grat, przeciwnie: oczyścimy z kurzu, postawmy na honorowym miejscu naszych zbiorów, których będzie stanowiła cenną ozdobę i jeden dowód więcej niekonsekwencji dzisiejszych czasów: kult dla podobizny „królewskiego statku“.

W zastosowaniu praktycznym łodzie wszelkiego gatunku: malowane, haftowane lub aplikowane, wypalane, — używane są, jako motywy dekoracyjne do zdobienia poduszek, abażurów, parawaników, kart pocztowych, jadłospisów etc.

Dla osób, oddających się wioślarstwu, stanowić będą łatwe przybranie bluzek, swetrów i t. p. Wyhaftowany złotem lub wyszyty krzyżykami na prawym boku stateczek doda wdzięku i charakteru sportowej bluzeczce.

J. S.



przedszkolnym, i tu również film nasunął przed oczy zainteresowanych kobiet żywe obrazy zajęć i zabaw dzieci, co wywołało ogromne zainteresowanie, tem silniejsze, że większość kobiet widziała kino poraz pierwszy.

Kulminacyjnym punktem narad było zebranie przewodniczących Kół gospodyń, które omawiały sprawy organizacyjne. W tej naradzie uczestniczyło przeszło 300 gospodyń, z których kilkadziesiąt zabierało głos z całą swobodą i pewnością siebie, rzadko kiedy odchodząc od tematu, obejmującego drogi do rozwoju Kół gospodyń i usprawnienia ich pracy.

P. Zdanowska z naciskiem wyjaśniła, że kiedy w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości naszej, charakter pracy wydziału gospodyń był propagandowy, to obecnie należy przejść zdecydowanie do pracy drobiazgowej, mrówczej, nie tak efektownej, ale nie mniej pożytecznej. Koła nie mogą się ograniczyć na słuchaniu pogadanek, na oczekiwaniu przyjazdu instruktorki, ale muszą dążyć do podniesienia skali życia na wsi polskiej, do stopniowego ulepszania gospodarstw. Przez poprawę odżywiania, zaopatrzenie w umywalnie i miednice (w wielu domach wiejskich, jeszcze ich niema), przez urządzenie kąpieli, zamianę niezdrowych kołosek na łóżeczka, przez zakładanie ogródków warzywnych i kwiatowych, wykonywanie różnych ulepszeń, opisywanych w „Głosie do kobiet wiejskich”, — możemy z naszych zagród uczynić raj, z którym wszyscy domownicy będą związani najgłębszym ukochaniem.

Dyskusja trwała po jej przemówieniu przeszło godzinę, nasunęła wiele pomysłów i projektów, poczem p. Zrobkówna, jedna z najzdolniejszych instruktorek, pełniąc rolę organizatorki i lustratorki Kół, bardzo jasno wyłożyła sprawozdanie ze swych objazdów, przedstawiła braki w działalności okręgów i sposoby przewyciężenia trudności, które się mnożą zwłaszcza z powodu niedostatecznej ilości osób wśród inteligencji miejskiej, przygotowanych do metodycznej pracy. P. Karczewska przedstawia zarys tych dziedzin, w których należy wprowadzać udoskonalenia.

Dziela się one na następujące grupy:

1. Produkcja pożywienia: Warzywnictwo, sadownictwo, krzewy jagodowe; drób, mleczarstwo; pszczoły, króliki, ryby.
2. Konserwowanie produktów spożywczych: Wyrób konserw, suszenie, wyrób wędlin.
3. Odżywianie: Wybór pożywienia, przygotowanie, żywienie małych dzieci, dzieci szkolnych; wartość i użycie mleka.
4. Zdrowie: Opieka nad dzieckiem, pielęgnowanie chorych, ochrona zdrowia.
5. Materiały i ubranie: Dobór materiałów do szycia; szycie bielizny, krawiecczyzna, krój, reperacje, kapelusznictwo.
6. Urządzenie i prowadzenie domu: Prowadzenie rachunków; urządzenie domu, metody prowadzenia domu; dom i podwórze.

7. Budowa i przebudowa: Umeblowanie i ozdabianie domu.

Duże zainteresowanie wywołały liczby, określające procentowy stosunek różnych kulturalnych warunków bytu gospodyń w Stanach Zjednoczonych. I tak: na 100 gospodyń w stanie Montana—15 ma elektryczne oświetlenie, 31 ma lodownię, 53 ma telefony, 57—linoleum na podłodze w kuchni, 68 należy do stowarzyszeń kobiecych, 72 prenumerują pisma kobiece. Ogromne wrażenie wywołało dłuższe przemówienie p. Magdaleny Urbankowej, łowiczanki, obdarzonej niepospolitą wymową i głęboko, a szczerze sięgającej do samej istoty organizacji pracy kulturalnej na wsi, która nie może być narzuconą, ale musi wynikać z uświadomienia i własnej woli gospodyń wiejskich, gdyż tylko wtedy będzie wartościową i trwałą.

Po skończonych obradach nastąpiła wieczornica, urozmaicona miłym przedstawieniem.

Ostatniego dnia o 6 rano, po gorących modłach przed Cudownym Obrazem, przystąpiły wszystkie uczestniczki Zjazdu do Komunii Św. na intencję pomyślnego rozwoju Ojczyzny z powodu dziesięciolecia jej niepodległości.

Zjazd uchwalił szereg wniosków, nawołujących do kultywowania ideałów religijnych i narodowych, do szerzenia opieki nad dzieckiem przez zakładanie żłobków i poradni dla matek, do walki z gruźlicą i alkoholizmem, do pracy nad podniesieniem kultury wsi polskiej, oraz do popierania wytwórczości krajowej.

M. Karczewska

PRZECHOWYWANIE OWOCÓW

(Dokończenie)

Wszystkie te wskazówki mają na celu utrzymanie równej, dość niskiej temperatury—od 4 do 6° R. Wyższa ciepłota przyspiesza dojrzewanie owoców, przekształcanie się krochmalu w cukier, wytwarzanie się olejków eterycznych, wreszcie wywołuje psucie się owoców, czyli gnicie.

W zbyt chłodnym powietrzu, więc np. w lodowni, przebieg dojrzewania ulega zupełnemu powstrzymaniu, jednak ze szkodą dla smaku i aromatu owoców.

Jeżeli podczas mrozów temperatura przechowalni spada poniżej 0°, to przedewszystkiem trzeba dokładnie opatrzyć okna i drzwi. Ogrzewanie sztuczne jest dopuszczalne, ale źródło ciepła, więc piec lub przewody, powinny być umieszczone nie w tej samej komorze, w której leżą owoce. Ogrzewanie zawsze suszy powietrze, a wtedy owoce więdną i nabierają smaku rzepowatego. Łatwo też tworzą się w jabłkach piegi, czyli żółte, gorzkie plamy podskórne. Spadek temperatury do 0° nie jest dla gruszek i jabłek groźny, o ile nie trwa długo i jeżeli podnoszenie się ciepłoty następuje potem powoli.



Półki do układania owoców

Nadmiar wilgoci wywiera wpływ równie szkodliwy, jak suche powietrze, choć objawy są inne.

Wilgoć sprzyja pojawianiu się pleśni i zgnilizny, oraz wpływa ujemnie na trwałość owoców, nadmiernie hamując parowanie. Pod względem wilgoci potrzeby owoców są jednak niejednakowe: odmiany o skórce szorstkiej (np. reneta kanadyjska, reneta Kulona i t. p.) parują łatwiej, niż pokryte skórką gładką, zwłaszcza z tłustym, woskowym nalotem. Więc odmiany szorstkie, należy przechowywać w pomieszczeniach wilgotniejszych, albo układać na dolnych półkach. Nadmiar wilgoci można zmniejszyć albo przez przewietrzanie, albo przez ustawianie płaskich naczyń z wapnem palonym, lub chlorkiem wapnia. Gdy chlorek wapnia się rozpuści, można go odparować i użyć ponownie.

Dostęp świeżego powietrza do przechowalni powinien być bardzo ograniczony, a szczególnie trzeba się strzec przeciągów, wysuszających powietrze. Jednak otwieranie okien w składach, gdy powietrze staje się duszne, jest pożądane przy odpowiednich warunkach atmosferycznych i cieplnych. Okna jednak powinny być niewielkie i zwrócone najlepiej na północ; światło bowiem przyspiesza dojrzewanie owoców. Dlatego więc w przechowalniach zwykle panuje zupełna ciemność, okna są zasłonięte matami lub okiennicami, a praca odbywa się przy świetle sztucznym. Tu na pierwszym miejscu stoją lampy elektryczne, które nie zatrują powietrza gazami spalinowymi.

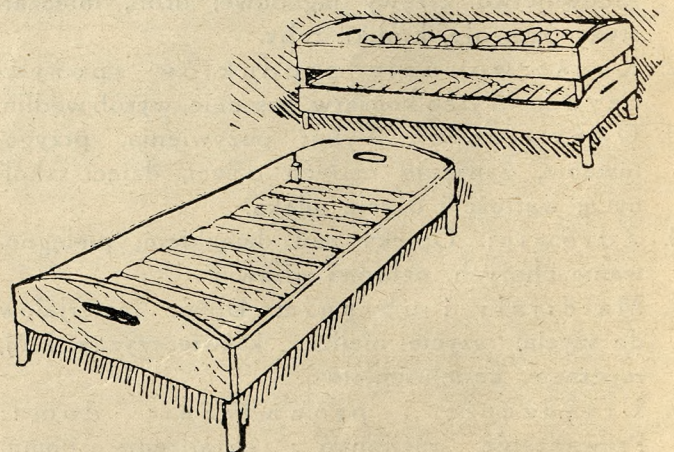
Ale nie tylko powietrze musi być czyste: w przechowalni wogóle musi panować czystość wzorowa. Więc zaraz po opróżnieniu składów trzeba w nich natychmiast pootwierać na stałe drzwi i okna. Urządzenia ruchome wynieść, wyszorować gorącą wodą z sodą

i wystawić na słońce. Przed nowym zbiorem pomieszczenie trzeba starannie oczyścić z pajęczyn, śmieci, i wysiarkować, żeby zabić wszystkie zarodniki pleśni, chorób i szkodników. W tym celu ustawia się jedno lub parę naczyń, czy skorup żelaznych, wkłada się w nie rozżarzone węgle i wsypuje proszek, albo wrzuca kawałki siarki, w stosunku 15 do 20 gr. na każde 10 m. sześć. przestrzeni. Rzecz prosta, że wszystkie okna i drzwi trzeba szczelnie pozamykać i otworzyć je dopiero po 2 lub 3 dniach. Następnie ściany i sufity trzeba wybielić, a części drewniane wyszorować gorącą wodą z sodą.

Urządzenie przechowalni powinno się składać z półek drewnianych, przewiewnych, wykonanych z listewek, przybijanych w pewnych odstępach. Brzegiem powinny ze wszystkich stron biec ramy, które zapobiegająby staczaniu się owoców. Drzewo smolne, pachnące, nie nadaje się na półki, dopóki nie wywietrzeje. Same półki powinny być tylko tak szerokie, żeby ręką w poprzek można było sięgnąć, a więc 60 do 70 cm, i muszą być ruchome, do ustawiania na poprzecznych listwach stalug. W szerszych składach mogą być urządzone półki w trzy rzędy, przy czym środkowy będzie dostępny z obu stron. Odstęp między warstwami półek muszą wynosić conajmniej 30 cm.

Na tak urządzonych, przewiewnych półkach układa się owoce bezpośrednio. Jedyny dopuszczalny, choć zbędny, podkład — to bezwonna wełna drzewna. Słoma wciąga łatwo wilgoć i nadaje owocom niemiły, słodkawy posmak i odór. Wytworniejsze owoce układa się tylko jedną warstwą; jabłka ogonkami ku dołowi, gruszki — odwrotnie. Odmiany, dojrzewające po nowym roku, można kłaść dwiema warstwami, jeżeli brak miejsca zmusza do tego, ale w miarę opróżnienia się półek trzeba rozkładać owoc cienie.

Przechowywane owoce wymagają stałego dozoru. Więc nie tylko należy kontrolować temperaturę czystość i stan wilgotności powietrza, ale trzeba przeglądać owoce, wybierać dojrzewające i niezwłocznie usuwać te, które zaczynają gnić, żeby nie zarażały sąsiednich. Ponieważ przede wszystkim zaczynają się psuć owoce obite lub skaleczone, więc trzeba takie



Półki ruchome do przechowywania owoców

układać osobno, unikać ściskania owoców palcami i mieć paznogie krótko obcięte, jak do gry na fortepianie. Nie należy też owoców wycierać przed układaniem w przechowalni, żeby nie uszkodzić naskórka i nie pozbawić go tłustawej powłoki woskowej, chroniącej skutecznie od nadmiernej utraty wilgoci.

Bardzo późno dojrzewające odmiany jabłek, jak Boikena, żeleźniak i t. p., mogą być od biedy przechowywane w kopcach, jak ziemniaki, dopóki przechowalnia się nie opróżni.

Co jednak mają robić amatorzy owoców, którzy nie posiadają odpowiednich piwnic ani składów, chcą jednak przechować niewielki zapas owoców na użytek codzienny?

Tym radzę zakupić partję owoców bez skaz, każdą sztukę owinać w bibułkę, albo choćby w papier gazetowy, i układać ściśle warstwami w przewiewnej skrzynce drewnianej, bądź bez przekładania, bądź prześcielając warstwy papierem lub bezwonną wełną drzewną. Doskonałym materiałem do prześcielania jest też proszek torfowy.

Zamiast skrzynek, można użyć baryłek, jednak trzeba w nich przewiercić liczne otwory, żeby powietrze miało dostęp do wnętrza. Tak opakowane owoce można ustawić na strychu, w spiżarni, w chłodnej sieni, albo w niezbyt wilgotnej piwnicy. Gdyby temperatura zbliżała się do 0°, wystarczy nakryć skrzynki derkami. Dla każdej odmiany należy mieć osobną skrzynkę. W ostateczności można zapakować dwie lub trzy odmiany do jednego naczynia, ale w kolejności dojrzewania, to znaczy—najpóźniejsze pójdą najgłębiej. Niezłe też trzymają się owoce, owinięte w papier i ułożone warstwami pomiędzy bielizną w szafach lub komodach, rzadko otwieranych.

Przechowywanie owoców na szafach i oknach jest zupełnie wadliwe, bo są one tam wystawione na działanie słońca, przewiewu, i na ciągłe zmiany temperatury.

Wreszcie—po czym poznać, że owoce dojrzały? Istnieją kalendarze dojrzewania, ale zawarte tam daty są względne, zależne do warunków klimatycznych danej miejscowości i od warunków, w jakich owoc był przechowywany. Trzeba więc kierować się cechami zewnętrznymi i próbami. Gruszki zwykle przybierają odcień żółtawy i mięknią przede wszystkim koło ogonka. Tam więc należy je badać, uciskając palcami, a nie na wypukłościach, gdzie tworzą się od ucisku brzydkie plamy, ulegające łatwo gniciu.

Jabłka nabierają zwykle przy dojrzewaniu pięknego zapachu, często barwią się jaskrawo, nieraz pokrywają się tłustawym nalotem, a przy ucisku mięsowo się poddaje.

Więc, reasumując wskazania, należy przypomnieć 1) że w sadzie trzeba toczyć nieustanną walkę z chorobami i szkodnikami; 2) że owoce trzeba we właściwej porze ostrożnie zbierać z drzew, a nie otrząsać;

3) że owoce zdrowe i dorodne, ułożone jedną warstwą, w korzystnych warunkach stopniowo dojrzewają pomyslnie. A przetrzymane do Bożego Narodzenia lub dłużej, osiągną przy sprzedaży ceny tak wysokie, że z nawiązką pokryją wszystkie koszty i trudy racjonalnego przechowania,

Stan. Schönfeld.

ELEKTRYFIKACJA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Nietylko gospodarstwo fabryczne, ale i domowe pracuje dziś pod hasłem mechanizacji pracy w jaknajszerszym znaczeniu tego wyrazu. Powojenne podrożenie środków do życia wywołało podrożenie usług żywej siły ludzkiej—wydajność zaś pracy o wiele się zmniejszyła. Rzecz prosta, iż każda zapobiegliwa gospodyni domu stara się przede wszystkim, by wszelkie prace domowo-gospodarskie wykonać jaknajniższym kosztem, a mimo to jaknajlepiej i najakuratniej. Wiedząc, iż najtańsza i najwygodniejsza jest praca, wykonywana przez maszyny—zwróci się do nich. Cel ten osiągnie każda gospodyni przez posługiwanie się w gospodarstwie elektrycznością.

W gospodarstwie domowym posługujemy się elektrycznością zarówno do wytwarzania światła, jak ciepła i siły motorycznej.

Światło elektryczne jest znane powszechnie, a ciągle wynalazki w dziedzinie lamp żarowych sprawiają, iż koszty oświetlenia lampami żarowymi maleją w stosunku bardzo pokaźnym. Prócz tego należy zwrócić uwagę na wygody jego stosowania—zdrowotność, czystość — oraz mocność wywoływania najrozmaitszych efektów dzięki temu, że światło elektryczne świeci w każdej pozycji—sztuka zaś stosowana w zastosowaniu do tego rodzaju światła osiąga swój szczyt, stwarzając estetyczne i kunsztowne żyrandole, ample, abażury etc.

Nawet dla oświetlenia wielkich przestrzeni, jak np. ulic, placów, magazynów i t. p. światło żarowe konkuruje skutecznie z łukowem.

O wiele więcej prądu elektrycznego zużywamy w gospodarstwie domowym do wytwarzania siły motorycznej i ciepła. Zapoznamy się też z rozmaitymi przyrządami, używanymi do tego celu.

Do otrzymywania ciepła na drodze elektrycznej służą grzejniki, kuchenki, rondelki, imbryki, czajniki, piecyki, żelazka, rurki do włosów i t. p.

Rzecz naturalna, iż każda gospodyni zechce przed zakupieniem odpowiedniego przyrządu sprawdzić, ile będzie kosztowała siła elektryczna, zużyta do niego, a co zatem idzie, jaka będzie oszczędność w stosunku do dotychczasowej obsługi. Zapotrzebowanie siły elektrycznej dla danego przyrządu mierzymy w watach, wzgl. kilowatach (kilowatt=1000 watów).

Wiedząc zatem, ile prądu na godzinę zużywa dany przyrząd, oraz ile kosztuje jeden kilowatt energii elektrycznej, możemy bardzo łatwo obliczyć koszt prądu. Na dobro przyborów elektrycznych musimy jeszcze, prócz ekonomji, zapisać i to, iż posługiwanie się przyrządami elektrycznymi jest czyste, wygodne i bardzo precyzyjne.

Poniżej umieszczona tabliczka podaje, jaką ilość energii elektrycznej zużywa dany przyrząd.

NAZWA PRZYRZĄDU	Zużycie elektryczności na godzinę w watach
Żelazko doironowe	200 — 420 watów
Imbryk 1,25 — 1,75 ltr.	500 — 600 „
Naczynie do gotowania wody	300 — 550 „
Grzejnik do zanurzania	260 — 300 „
Maszynka do grzania korbówek	150 „
Kuchenka do gotowania	260 — 900 „
Słońce elektryczne do ogrzewania rąk, pokoi i t. d.	500 — 600 „
Wentylatory do suszenia włosów	60 — 75 „
Poduszki z ogrzewaczami	200 — 500 „
Piece elektryczne	1000 — 2000 „
Piecyki do suszenia (wyrób sucharków)	500 „

Sposób użycia wszystkich powyżej wymienionych przyrządów jest nadzwyczaj prosty, a efekt cieplny czuje się w parę minut po włączeniu. Nie trzeba niecierpliwic się, aż rurki do włosów się zagrzeją, lub aż zagrzeje się „dusza“ od żelazka do prasowania.

Taniość użycia aparatów elektrycznych do gospodarstwa podnosi jeszcze i to, że niektóre elektrownie (np. Pruszków) mają specjalną, zniżoną taryfę dla odbiorców prądu elektrycznego: dla światła i siły, oraz dla celów gospodarskich. Wskutek zastosowania tej taryfy nie potrzeba oddzielnych przewodników dla prądu oświetleniowego i motorycznego, ani też oddzielnych liczników. System ten ma jeszcze tę dobrą stronę, iż można z każdego świetlnego kontaktu korzystać.

Zastosowanie motorów elektrycznych w gospodarstwie jest też bardzo godne polecenia.

Do rozmaitych celów używa się też różnych maszynek, poruszanych elektrycznością.

Są to: froterki i odkurzacze, pralnie, maszyny do mielenia mięsa, krajania chleba, wyrobu lodów i masła, czyszczenia noży, poruszania maszyn do szycia i w. in. Motorki takie rozwijają przeciętnie siłę $\frac{1}{20}$ —

$\frac{1}{8}$ k. m., a ponieważ siła 1 k. m. odpowiada mniej więcej 500 watom, przeto koszt prądu można sobie łatwo obliczyć. Motorki elektryczne mają szybkość około 2000 obrotów na minutę, a ponieważ maszyny gospodarskie wymagają przeciętnej szybkości 80 obrotów na minutę, przeto wszystkie maszyny posiadają tak urządzoną przekładnię, iż szybkość można dowolnie zmieniać.

Wszelkie maszyny i motorki, oraz lampy grzejniki dla prądu elektrycznego produkują, jako specjalność, Bracia Borkowscy—Zakłady Elektrotechniczne w Warszawie. Firma ta zajmuje się specjalnie budową takich aparatów pod marką „Brabork“ i w tej dziedzinie doszła do pewnej doskonałości, redukując ilość prądu, potrzebnego dla danej maszyny i rugując z powodzeniem aparaty niemieckie. Fabrykaty niemieckie sprowadzane do nas, były zbyt drogie, a towar krajowy jest znacznie tańszy, dzięki czemu rośnie zapotrzebowanie tych przyborów. *Inż. Tadeusz Ingwer.*

ŚPIŻARNIA W MIEŚCIE

(Dokończenie)

Z konserw — śpizarnia nasza powinna być zaopatrzona przede wszystkim w pomidory. Czy zrobimy je w domu, czy nabędziemy w puszkach z jakiejś sumiennej krajowej fabryki, — kuchnia bez nich stanowczo obejść się nie może. Poza niemiparę puszek groszku i fasolki zielonej, na wypadek konieczności dodania do obiadu drugiej jarzyny. Mówię tutaj—puszek—z myślą właściwie, że kilkanaście pół i ćwierć litrowych słoików Weck'a z temi jarzynami bardzo mało miejsca w szafie zajmą. Parę słoików korniszonów i grzybków, cebulek-szalotek i pikli mieszanych dadzą nam możliwość ładnego udekorowania półmisków z sałatką lub majonezem. Z dziesięć słoików konfitur, niekoniecznie nawet bardzo pracowitych, drylowanych, lecz takich sobie, praktycznych, gospodarskich konfiturek, typu jam'ów—będą stanowiły dodatek do niespodzianie podanej herbaty, ubrania leguminy, na podwieczorek dla dzieci, lub nawet, z dodaniem mleka, śmietanki lub biszkoptów, zastąpią deser przy obiedzie w dniu, w którym nie będziemy miały czasu na obmyślenie innego.

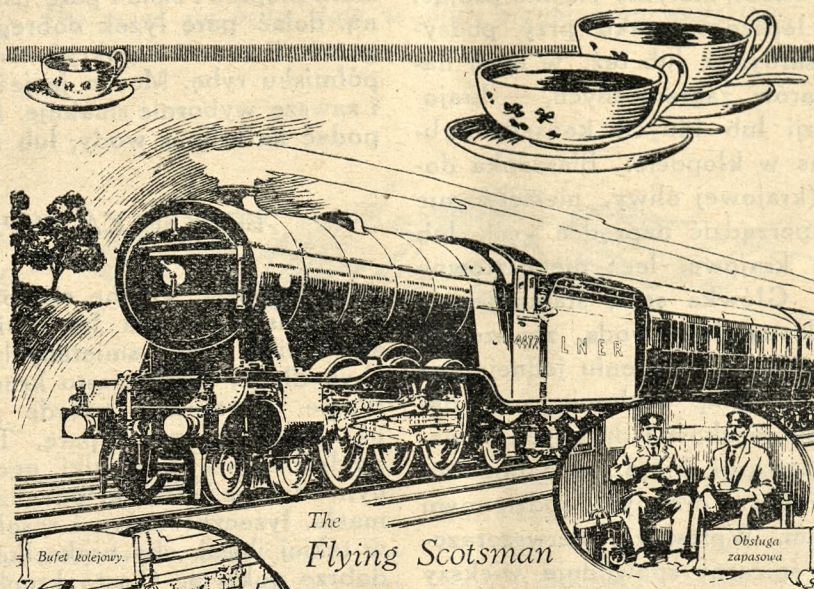
Wśród soków, syropów, których kilka butelek koniecznie mieć musimy,—nie powinno zabraknąć soku malinowego, jak pomiędzy konfiturami — konfitur malinowych. Zarówno sok, jak i konfitury malinowe są wyborem lekarstwem w początkach przeziębienia, wywołującym lekkie poty i zapobiegającym nieraz poważniejszej chorobie. Kilka małych słoików galarety porzeczkowej dadzą nam możliwość wykonania wykwintnych sosów: groseille i cumberland.

Z napojów: kilka butelek białego i czerwonego wina, chociażby krajowego, które w kuchni zupełności zastępuje wina zagraniczne, butelka madery do sosów, butelka rumu, pół butelki likieru „maraschino”—zupełnie zabezpieczają potrzeby kuchenne. Wina, wódki i likiery, używane do stołu, tutaj w grę nie wchodzi; mówię tylko o tych trunkach, które mogą być potrzebne przy wykonywaniu różnych potraw.

W żadnej, najskromniejszej szpizarni nie powinno braknąć kompotów. Czeresnie, agrest, wiśnie, truskawki, śliwki, morele i gruszki, ugotowane w konserwatorach Weck'a, czy to same, czy zmieszane z kompotem ze świeżych jabłek, lub suszonych owoców—stanowią nie zbytek, lecz artykuł pierwszej po-

trzeby przy odżywianiu każdej rodziny. Oprócz kompotów—garnek powideł śliwkowych, lub jabłecznych, garnek borówek, usmażonych z jabłkami i gruszkami na sałatę, jakieś gruszki lub śliwki w occie do wykwintniejszej zwierzyny i pewien zapas śliwek, gruszek i jabłek suszonych — da nam możliwość wprowadzenia dań owocowych do naszych codziennych jadłospisów.

Wszelkie korzenie: pieprz, ziele, listek, majeranek, cynamon, goździki, imbir, gałka i kwiat muszkatolowy, kardamon, sucha skórka pomarańczowa, suszony koperek i pietruszeczka, migdały słodkie i gorzkie, rodzynki sułtańskie i koryntki, wanilja, olejek cytrynowy i migdałowy — powinny chociaż w minimalnych ilościach być zawsze na pogotowiu.



The "Flying Scotsman" przebiega najdłuższy odcinek kolejowy na świecie bez zatrzymania. Przebywa on bowiem codziennie dystans Londyn-Edinburgh (a odpowiedni pociąg w kierunku przeciwnym dystans Edinburgh-Londyn) czyli odległość 392 mil, względnie 630 kilometrów w przeciągu nieco więcej ponad 8 godzin. Rekord ten umożliwiony został dzięki temu, iż tender lokomotywy tego pociągu posiada korytarz, przez który podczas biegu zmienia się obsługa lokomotywy. Podróźni korzystają z wszelkich możliwych nowoczesnych urządzeń i wygod, w pociągu znajduje się bowiem: salon dla pań z obsługą, salon fryzjerski, kuchnia z elektrycznym piecem i chłodnią oraz wagon restauracyjny dla wszystkich klas. Wszystkim podróżującym po Wielkiej Brytanji bez różnicy płci i wieku, jakoteż bardzo intensywnie pracującej obsłudze pociągu (maszynistom, palaczom, konduktorom i dróżnikom) znany jest wyborny smak, odświeżająca czystość i gatunek herbaty

LYONS' TEA

Lyons' Tea podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.—



Dotąd jednak mówiłam tylko o potrzebach kuchennych, o artykułach, które zawsze powinnyśmy mieć pod ręką i których kupienie w większej ilości jest bardziej korzystne, niż kupowanie drobiazgowo, przy którym za opakowanie płacimy więcej, niż za sam towar. Teraz pozostaje mi wspomnieć o tem, co nasza szpizarnia zawierać powinna z artykułów, stanowiących jakby pewne pogotowie na wypadek, kiedy niespodzianie musimy coś dodać do obiadu lub kolacji, lub też podać przekąskę nieprzewidzianą, czy przyszykować naprędce herbatę.

Otóż przedewszystkiem nasza szpizarnia powinna być zawsze zaopatrzona w trwałe litewskie lub pomorskie wędliny: szynkę na surowo, baleron, poledwicę, salami lub kiełbasy doskonale uwędzone, które całemi tygodniami mogą wisieć, nietylko się nie psując, lecz nawet nabierając lepszego smaku przy podsychnianiu. Kilka puszek sardynek lub też, w myśl hasła niekupowania towarów zagranicznych, — krajowych szprottek, skumbriji lub innych konserw rybnych — nieraz uratują nas w kłopotcie. Blaszanka dobrej, francuskiej oliwy (krajowej oliwy, niestety, nie mamy!) pozwoli nam sporządzić naprędce sosik, lub połać nią również nie krajowe, lecz niekosztowne i mile widziane śledzie. Głównka sera, starannie zawinięta w szmatkę, zwilżoną słoną wodą, zawsze też powinna być na pogotowiu; po zjedzeniu jednej — natychmiast zastępujemy ją inną. Nakoniec parę paczek suchych ciastek, pierniczków i drobnych obwarzanków dopełni naszej szpizarni, która, tak zaopatrzona, może stawić czoło różnym drobnym, codziennym chociażby niespodziankom. Wprawdzie pierwszorazowe zaopatrzenie takiej szpizarni spowoduje większy wydatek (dokompletowywanie jej będzie już znacznie łatwiejsze), lecz przy zestawianiu rocznych rachunków przekonamy się ze zdziwieniem, że wydaliśmy w rezultacie mniej, niż wtedy, kiedy robiliśmy zakupy naprędce, w razie nagłej potrzeby. *Pani Elżbieta.*

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SZCZUPAK PO GRECKU

Szczupaka oczyszczonego, jak zwykle, rozplatać w całą długość, aby dzwonka nie były grube, pokrajać na dowolnej wielkości kawałki, osolić na godzinę przed smażeniem. Usmażyć utarżane w mące kawałki ryby na szmalcu, oliwie lub oleju. Oddzielnie uszat-kować różne jarzyny, jak: marchew, pietruszkę, selery, pory, cebulę, kapustę włoską, biorąc kilo jarzyn na kilo szczupaka. Dusić te jarzyny w bardzo niedużej ilości wody, tak tylko, aby się nie przypaliły; gdy na-wpół gotowe, wlać pół szklanki dobrej oliwy, włożyć z pięć pomidorów świeżych, przekrajanych na ćwiartki, lub tyleż łyżek dobrej konserwy pomidorowej, kilka ziarn pieprzu i ziela i parę listków. Gdy jarzyny zniek-ną, dolać parę łyżek dobrego, winnego octu, raz za-gotować razem i pokryć temi jarzynami ułożoną na półmisku rybę. Można ją jeść na zimno lub na gorąco i zawsze wybornie smakuje. Do gorącej można jeszcze podać kartofle z wody, lub ryż, na sypko ugotowany.

BRUKSELKA W PASZTECIKACH

Zagnieść kruche ciasto z pół kilo mąki, ćwierć kilo tłustego masła lub świeżego szmalcu, łyżeczki soli i kilku łyżek śmietany lub wody. Nie wygniatać zbyt długo, gdyż ciasto kruche staje się przez zbyt długie wyrabianie twarde po upieczeniu. Wynieść na chłód na godzin parę. Tymczasem oczyścić kilo najdrobniejszej brukselki, ugotować w obfitym, osolonym dobrze wrzątku, odcedzić. Z łyżki mąki, łyżki masła, łyżeczki cukru i rosołu lub mleka, zrobić sos w takiej ilości, aby brukselka, z nim zmieszana, była dobrze pokryta. Ciasto kruche cieniuchno rozwałkować, wyłożyć niem foremki nieco większe od tych, co używamy do babek śmietankowych, upiec do silnego zrumienienia, wyrzucić z foremek, nałożyć brukselkę, posypać serem tartym, wsunąć na parę minut do gorącego pieca i podawać. Z tej proporcji powinno wyjść dwanaście dużych pasztecików. *Pani Elżbieta.*

HEMOROIDY CZOPKI **VARICOL**
HEMOROIDALNE
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA AGAŃSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA AGAŃSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STFFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rybarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Zapowiadając w „Bluszczu“ wprowadzenie działu „Nasza Mównica“, pragnęliśmy dać swobodny głos czytelniczkom, możliwość wypowiedzenia się, nieograniczoną ściśle ułożonym programem pisma, ani poziomem literackim utworów; zachęcić do dyskusji, do przedstawiania swej umysłowości i omawiania różnych spraw życiowych przeciętny ogół inteligentnych kobiet.

Nadzieje nasze nie zawiodły. Pomimo krótkiego względnie czasu, który upłynął od ukazania się zapowiedzi nowego działu, napłynęły już liczne listy, świadczące o żywym zainteresowaniu się nim czytelniczek. Część tych listów umieszczamy obecnie. Dalsze numery „Mównicy“ ukazywać się będą stale, w miarę przybywania materiału. REDAKCJA.



P. Marja Kowalska z Małopolski.

Nie wiem, czy głos mój zyska uznanie Sz. Redakcji i miejsce w „Mównicy“, ale przeczytawszy wezwanie, zamieszczone w Nr. 44 „Bluszczu“, aby czytelniczki dzieliły się między sobą swemi poglądami na sprawy społeczne, kulturalne i intelektualne, pośpieszam wypowiedzieć to, co mi leży na sercu i co przemyślałam głęboko z racji ostatnich uroczystości. Jest to sprawa ogólna, obejmująca niejako całokształt naszego życia, zarówno w przejawach społecznych, jak i w zwykłych, w rzeczach codziennych; a może mój pogląd na nią wywoła dokładniejsze jej wyjaśnienie, może ułatwi niejednej z nas własny do tych wszystkich przejawów życiowych stosunek.

Przeżyliśmy okres słusznej dumy i zadowolenia. Dziesięcioletni bilans naszego istnienia państwowego wykazał nam, że umiemy nie tylko pracować dobrze w trudnych nieraz warunkach, ale i pracować twórczo, i realizować wielkie plany, i zdobywać szacunek swoich i obcych.

To też cieszyliśmy się z głębi serc i obchodzili nasze dziesięciolecie, jak prawdziwe święto ducha, z powagą, ale i żywiołową nieraz radością.

I dobrze, iż tak było, bo radość podnosi i uszlachetnia serca, jest kapielą ożywczą psychicznego życia.

Ale czy ten nastrój radosny przebrzmieć ma bez echa?

Czy — gdy zagasły iluminacje, gdy zdjęto sztandary i dekoracje, zakończono obchody i akademje — pozostać ma tylko wspomnienie, a nic z samej istoty tych wielkich dni?!

Tak być nie powinno. Musimy przecież zrozumieć, że rocznice są tylko umówionym terminem, obchody — uzewnętrznieniem naszych uczuć, ale uczucia same, ale fakty, które je wywołały, trwają wokoło nas i w nas samych.

A więc nie tylko dziesięciolecie, ale każdy następny rok, i miesiąc, i dzień poszczególny w naszym życiu powinien pozostać takim samym, bo dobro nasze, nasz dorobek, trwał!

Ale chodzi o to, że niedosyć jest zająć to bierne stanowisko: nie przysporzyłoby to nam żadnego pożytku i nie dało żadnego zadowolenia. Trzeba więc wynaleźć sposób, aby, utrzymując radosny nastrój minionych dni, pracować jednocześnie dla „dziś“ i „jutra“ i tak twórczo i pogodnie czcić stale nie tylko dziesięciolecie, ale istnienie naszej ojczyzny, żyjąc dla jej pożytku.

Jak to zrobić?

Niejednej z nas wydać się to może trudnem. I niejedna z nas zapyta siebie: — cóż ja mogę? Co innego — działaczki, społecznice, posłanki, literatki,

artystki, pracujące w wielkich środowiskach, ale każda z nas, zwykłych kobiet z ogółu, z „szarego” tłumu?..

Nie wiem, czy słuszne jest moje mniemanie, czy nie jestem zarozumiała, ale zdaje mi się, że my właśnie najwięcej zrobić możemy!

Nie ujmuję tem, broń Boże, zasługi naszym przedowniczkom, tym, które kierują sprawami społecznymi i kobietami, które są inicjatorkami projektów i prac twórczych, — o, nie! dla nich największa pochwała, podziw i szacunek nasz, — ale zapytuję: czem stałaby się ich inicjatywa, bez nas — bez oddźwięku ogółu?

Czy najlepszy artykuł, nieprzeczytany i niezrozumiany, stowarzyszenie, w którym istnieć będzie najmądrzejszy zarząd — bez członkiń, genialny projekt, do którego zabraknie tłumu zwykłych, prostych wykonawców, — wydadzą jakie rezultaty?

A to właśnie wszystko do nas należy i każda z nas, zwykłych kobiet, powinna przejąć się myślą, że pracować dla kraju i społeczeństwa może w każdej chwili i na każdym kroku.

W najmniejszym nawet środowisku możemy sobie założyć „stowarzyszenie” — zebrać się choćby w kilka, poto, aby nietylko przeczytać o różnych sprawach, ale przedyskutować je i pomyśleć, co z nich można w życie wokoło siebie wprowadzić: może dać śniadanie najbiedniejszym dzieciom w szkole, lub pomyśleć o założeniu pracowni spółdzielczej, dającej zarobek i opiekę dziewczętom, a nam samym dobrze i niedrogo uszyte suknie i bieliznę; a może utworzyć czytelnię ruchomą z książek i czasopism, a kto wie, czy nie warsztat kilimkarski, albo jedwabniczy?

Rzucam tu, naturalnie, tylko kilka przykładów pracy społeczno-gospodarczej, która, wiercie mi, w każdym, najdalszym i najmniejszym zakątku kraju jest możliwa i nawet osobiste korzyści przynieść może.

Rodzajów jej jest bardzo wiele i każda z nas znajdzie pewno przy dobrej woli szereg takich prac wokoło siebie.

Ale nietylko działalność społeczna, lecz tryb życia każdej poszczególnej jednostki składa się na całość ogólnego, społecznego pożytku.

Pomyślmy o tem, codzień, choć przez chwilę zastanówmy się, jak podnieść i ulepszyć nasze życie, jak dokładnie i sumiennie spełniać pracę zawodową, udoskonalić gospodarstwo, ująć rozumnie życie rodzinne, podnieść na wyższy szczebel stosunki towarzyskie — to wszystko tworzy razem coraz piękniejszą kulturę narodu, a powstaje pracą poszczególnych jednostek.

Ta praca będzie ważna właśnie w małym kółku. W wielkich środowiskach życia każda chwila niesie

nową kulturę, wartki bieg życia uczy i podnieca do czynu, — ale tam, gdzie niema tej podniety, trzeba ją wnieść i utrzymać w sobie i innych.

To będzie nasz trwały sposób pracy dla ojczyzny, poczęty w jej pierwsze dziesięciolecie.

P. Helena B.....a z Grudziądza.

Mamy, podług wskazówek Redakcji „Bluszczu”, poruszać w „Mównicy” różne sprawy żywotne i pożyteczne.

Jest to doskonały projekt: życie niesie codzień tyle zagadnień, a wiele razy niema okazji pogadać o nich z kimś drugim i dobrze je rozstrzygnąć! To też pragnę poruszyć jedną z tych spraw, może drobną, nie z wysokiego zakresu, ale dla wielu bardzo ważną.

W jaki sposób kobieta, która musi sama radzić sobie w życiu, może zaznajomić się z takimi sprawami, jak istota, wartość i pewność np. akcji przemysłowych? które kupić i gdzie ulokować swe oszczędności?

Będąc w tym roku w Wiedniu, miałam sposobność poznać właścicielkę banku, która, pracując długie lata z mężem, objęła po jego śmierci kierownictwo całej instytucji i jest sama u siebie dyrektorką. Jak ta kobieta umiała doskonale wytłumaczyć wszystkie operacje finansowe! Tajemniczy, niezrozumiały potwór — giełda — stawał się w jej objaśnieniach przejrzysty, jak oświetlony z wewnątrz słupek ogłoszeniowy, na którym widniały zwykłe napisy i adresy!

Pani ta, przemiła kobieta, nie chce chować swej wiedzy pod kocem i właśnie podczas mojej obecności, w porozumieniu ze Stowarzyszeniami Kobiecemi, organizowała przy swoim banku poradnię finansową. Do tej pory napewno już funkcjonuje.

Czyżby u nas nie można zrobić tego samego? Mamy tyle pracowniczek banków, tyle mądrych, prowadzących różne interesy, niewiast i uczonych ekonomistek! niechże pomyślą o tych nieświadomych, które nie potrafią odróżnić procentu od dywidendy i, mając trochę uciulanego grosza, namyślają się bezradnie, co z nim zrobić.

Niechże która poradzi i odpisze! Ja np. chciałabym kupić akcje, ale żeby dawały dobry procent, a były solidne i nie spadały. Od czego to zależy?

Bo czytam sprawozdania giełdowe i widzę, jak niektóre papiery niewiadomo dlaczego idą gwałtownie w górę, więc i zyskać coś można.

Proszę więc bardzo i mam nadzieję, że znajdę dobrą, uprzejmą duszę, która mi to wyjaśni.

W. Tropaczyńska, nauczycielka w Mogilnicy, pow. Baranowski.

Dalekie Kresy Wschodnie. Kraj niedawnych twardej wojny; mogiła nieznanego wojownika za sprawę ojczystą — biedna, nieurodzajna, wschodnia rubież kraju. Polesie — Białoruś. Chodzą jeszcze opowiadania, coraz bardziej milknące, o bojach 63 roku; żyją w pamięci walki obcych i swoich na szerokich terenach Białorusi — w czasie wojny światowej.

Przynależność do państwa polskiego, umiłowanie odzyskanej i wolnej Polski — to pojęcia tak odległe od ośrodka poczynań szerokich mas chłopskich, że i mówić, i pisać o nich nie warto. Życie tu twarde, jak stalowa obręcz, jak dola „wschodniego Polaka” — Białorusina.

XX wiek. Wiek radja, lotów przez Atlantyk, wiek coraz to nowych zdobyczy ducha, a obok — niebardzo nawet daleko — zupełnie dla nowoczesnych umysłów pierwotne życie: bodajże wschodnio-europejska nędza. Robactwo, żrące zzieleniałe od nędzy i brudu ciało; ziemianki, nory przyziemne, podziemne raczej, i niedola taka, że gdyby mogła, zapłakałaby chyba sama łzami krwi serdecznej.

W ciemnym wnętrzu chaty dzieci małych kilkoro. Jedno chore na gruźlicę, dwoje ślepych. Reszta bawi się w brudzie ubitej na „tok” gliny, zastępującej podłogę.

Przejdźmy wzdłuż osiedla wiejskie. Na słońce wyprowadźmy z ciemnych chat wszystkie dzieci. Dużo ich! Cieszymy się: procent zaludnienia wzrasta w Polsce niebywale! Dzieci mamy tak wiele! — Spróbujmy jednak posegregować tę bosą gromadę na dzieci zdrowe i chore, które w przyszłości, jako obywatelski materiał, zmaleją do zera. Dzieci paralityczne, gruźlicze, którym nędza wyżarła nietylko wszystką dziecięcą radość, ale i zdrowie fizyczne.

Jaki byłby wynik tej segregacji? Bardzo ponoc smutny dla liczby ludności w Polsce!

A dzieci te do szkoły posyłać trzeba!

Niewiele ona dać może, ta szkoła. Chata stara, niska i ciasna. Pomocy naukowych żadnych prawie, a te, które są, domowego przemysłu — nieudolne... wiadomo... Całą zimę — miesiący 4, 5 czasem, dzieci do szkoły chodzą. Z wiosną, przepisowa liczba frekwencyjna maleje, niknie... Wkońcu, w najlepszym razie, pozostaje 10 — 12 uczniów. Reszta pasie bydło. Żyje mniemanie, że jest sposób na sprowadzenie dzieciaków do szkoły: — kary na ojców, wedle ustawy do 40 zł., gdy, oczywiście, wszelkie pedagogiczno-ugodowe środki zawiodą. Ale z czego zapłaci Białorus owe kary, gdy zwykle pieniędzy nie ma, by chore dziecko do lekarza zawieźć?

A któż mu paść będzie bydło, bodaj jedyny, wobec marnej ziemi, dobytek, gdy pastwiska małe, błotniste, więc upada sposób pasienia owego bydła

przez jednego, wioskowego pastucha, jak się dzieje gdzieindziej? Bo i cóż wreszcie dać może szkoła, nie mająca, oprócz dobrej woli nauczycielki czy nauczyciela, nic, nawet lokalu odpowiedniego?!

A przytem chłop tutejszy nieufny jest. Wieki niedoli, obce, z precyzją pobłażające ciemności, zabory zrobiły swoje. Między nami, a chłopem, którego oświecać mamy, jest całe morze nieufności i bodajże nienawiści, nietylko klasowej, ale i wyznaniowej i narodowościowej. Pierwiastek fermentu jest głęboki, coprawda skryty często pod maską unizoności, uwydatniający się jednak silniej i wyraźniej właśnie w chwilach jakichś rygorów prawnych. Odpowiedzą mi niejedni, iż rzeczą nauczycielstwa jest uświadamianie o tych sprawach. Oświata pozaszkolna, kursy... współzycie... Wiem. Znam. I jak dobrze! To mało jednak. Nie robi nic wola i najwyższe nawet samozaparcie się jednostki, wobec milczącej obojętności ogółu. Sprawy te wołają wielkim głosem o zainteresowanie się niemi, o konkretne zarządzenie im. Zdobądźmy zaufanie szerokich mas chłopskich z Kresów Wschodnich, nie surowemi i ostatecznie w skutkach marnemi karami, nie twarą dłonią, szafującą grzywną, lub aresztem, lecz dobrem, bezinteresownie dla nich spełnianem! Dajmy im lekarza gminnego, któryby z obowiązku swego stanowiska leczył wszystkie ich choroby. Niech rachityczne, gruźlicze dzieci nie umierają tak często i tak marnie. Dajmy im ochronkę, przedszkole. Pomiedzy koniecznością oświaty, a przymusem szkolnym, wyśrodkujmy linię trzecią — ulżyjmy doli rodziców, zmuszonych posyłać dzieci do szkoły, a stojących wobec niemożności zrobienia tego.

Istnieją w miastach dożywiania biednych dzieci. Czy wieś ma być poza tym nawiasem? Czy tu biedy niema? Czasem stokroć gorszej od niejednej miejskiej, bo dla ogółu — w słońcu i powietrzu skąpanej, a w rzeczywistości — zatęchłej, zgniłej, brudnej i głodnej.

Łatwiej, bezwzględnie łatwiej zorganizować pomoc doraźną w mieście. Tu, w dalekich, wschodnich osiedlach, na przestrzeni kilkudziesięciu i więcej klm. kilka dworów, kilka szkół za ledwie. A ludzie są różni. Nie wszyscy widzą i chcą widzieć niedolę drugich. Do kogo się zwrócić? Do kogo apelować?

Prośba to serdeczna, ale i wołanie wielkie: czas jeszcze! Niech ciemny, brudny Poleszok, czy Białorusin wyzbędzie się przekonania, że Rząd, Państwo, to twór jakiś obcy, wrogi, dający znać o swem istnieniu wtedy jeno, gdy przysyła orzeczenia karne, policję, czy ściągą podatki. Niech uczuje żywsze zainteresowanie się jego sprawami ludzi z owej Polski dalekiej, niech zaufa tej Polsce. Niech ją pokocha!

Trudna to sprawa. Długa i wymagająca wiele poświęcenia. Są jednak do niej ludzie, którzy pracować chcą nie dla hasel szumnych, nie dla rozgłosu szerokiego, ale dla prostego umiłowania sprawy i doli

ludzkiej. Ale sami nie zrobią wiele. Trzeba im dłoń podać. Trzeba, żeby wiedzieli, iż sprawa, dla której kładą swe młode siły, obchodzi jednak szersze masy. Że dziecko, nad którym się pracuje 7 lat, nie zginie na gruźlicę, bo będzie miało zapewnioną pomoc lekarską. Przecie nie może długo krzywdą taka się dziać! I nie mogą istnieć długo ziemianki, „kurne chaty“ i niedaleko od nich swą zawiłą konstrukcją odbiegłe chaty-szkoły!

Iżba 2 m. wysoka o 2 małych oknach i piecu, który w zimie sam jest w kłopotcie, by się ogrzać!

I 50 dzieci szkolnych, uczących się w pierwszej, czy drugiej zmianie!

I nie wolno nam mówić, że czas przyjdzie i na te dalekie osiedla, że i tu, kiedyś, zawędruje pomoc i rada!

Niel tu radzić trzeba zaraz, bo te osiedla dalekie stać się mogą siedliskiem najgroźniejszego fermentu, bo ciemnej i już niezadowolonej ludności.

Powiedział kiedyś min. Moraczewski, że nie spocznie, póki na Kresach Wschodnich nie będzie ani jednej ziemianki (jest około 40.000). Wielkie słowa. Mądre słowa.

Gdyby więcej takich ludzi i więcej takiego zrozumienia, możeby nietylko absurd XX wieku—ziemianki—ale cała nędza, brud i choroby, grasujące na naszych Kresach, zniknęły z powierzchni ziemi.

Pani Nina Z. — Warszawa.

Niezmiernie wdzięczna jestem Redakcji „Bluszczu“ za wprowadzenie działu „Mównicy“. Jakże często każda z nas miałaby dużo do powiedzenia o różnych sprawach i o swych własnych przeżyciach! Odczuwamy żywo potrzebę podzielenia się z kimś naszymi myślami i wyjaśnienia sobie wielu rzeczy, ale czyż każdy może napisać wielki i mądry artykuł? A tu w „Mównicy“ można skromnie i bez pretensyj żadnych, poprostu, wypowiedzieć to, co się czuje.

Niedawno przeczytałam „Świat Kobiety“ Grossek-Koryckiej. Ta książka stała się epoką w moim życiu. Tyle wzbudziła wrażeń, i myśli, i przeżyć! Wszystko, co my, kobiety, odczuwamy podświadomą intuicją, ale koło czego przechodzimy, nie mając niekiedy może zdolności, a często siły woli, aby spojrzeć jasno tej prawdzie w oczy. Nasza słabość i nasza siła; dobroć najwyższego poświęcenia i przysłowiowa „babska zazdrość“ i złość; genialna nieraz intuicja, pozwalająca kobiecie nietylko zrozumieć najwyższe wloty ducha, ale niejednokrotnie je przewidzieć i wywołać,—obok głupoty kurek domowych i to niekiedy, o Boże! w jednej osobie! Cała kobiecość, wszystkie jej radości i cierpienia, krzywdy i wielkie prawa, cała jej najrdzenniejsza istota została

przez wielką autorkę postawiona przed nami żywa, najprawdziwsza.

Czytając tę książkę, zdawało mi się chwilami, że Grossek-Korycka jakimś dziwnym sposobem musiała znać mnie, bo to moje uczucia i fakty z mojego życia, a za chwilę widziałam inną już kobietę, dziesiątki, setki zdarzeń,—poprostu galerja typów, żyjących wokoło mnie.

Zachwycona, prosiłam mego męża, aby przeczytał to dzieło. Wymawiał się początkowo, a nawet obruszył, że mu czas zabieram, wiedząc, iż przygotowuje się do egzaminu (zdaje z ostatniego kursu prawa), ale ponieważ jesteśmy młodem małżeństwem, więc jakoś ustąpił. Prosiłam, aby przeczytał codziennie pół godzinki,—to będzie właśnie doskonały odpoczynek umysłowy.

Ano, przeczytał. Siedział dwa wieczory do późna; kiedy mu przypomniałam egzamin, powiedział tylko: „jeszcze zdążę!“ i czytał bez przerwy, nawet bez herbaty! Gdy wreszcie skończył, a ja cieszyłam się, jaka to będzie rozmowa nasza o tej przedziwnej książce, popatrzył na mnie z jakimś jakby zdumieniem i powiedział:—„Myślałem, że wszystko, co kocham w tobie, czem ty jesteś dla mnie, to ty, a ta autorka dowiodła mi, że to jest kobiecość!“

Musiałam przyznać mu słusność, bo i ja to samo myślę; ale potem przyszło mi do głowy, czy mężczyźni powinni czytać tę książkę? Czy można, czy dobrze jest tak odsłaniać przed ich wzrokiem całą naszą istotę psychiczną, tak ją rozświetlać do głębi?

Trudno im czytania tego dzieła zabronić, ale czy należy do tego zachęcać?

Może to moje przeżycie wzbudzi jaki oddźwięk lub dyskusję, może nie jest odosobnione? Tak bardzo bym pragnęła usłyszeć od innych kobiet ich o tej sprawie zdanie!

Pani Zofja W..... Łowicz.

Przeczytawszy, że w „Mównicy“ można zwracać się o różne informacje do Czytelniczek, chciałabym zapytać, czy w Poznaniu istnieją lub organizują się już spółdzielnie mieszkaniowe kobiece? Wiem, że w Warszawie np. są domy akademiczek. Teraz siostra moja wyjeżdża do Poznania, na posadę. Nie ma tam żadnych bliższych stosunków, a mieszkać przecież trzeba.

Czy która z Szan. Czytelniczek z Poznania nie zechciałaby udzielić mi informacji w tym względzie? Siostra moja skończyła uniwersytet, nie jest więc już studentką; ale może istnieje w Poznaniu jakiś dom wspólny dla kobiet pracujących, taki, o jakich czytałam, że są zagranicą.